

WARSZAWA
CZESTOCHOWA



„Babki i Zajaczki” to tytuł świątecznego alfabetu żartobliwo-poetyckiego. Znajdą w nim państwo ułożone w porządku alfabetycznym świąteczne hasła, wśród których B — „babki” i Z — „zajaczki” są tylko dwoma symbolicznymi częściami.

Powiedzieliśmy — świąteczne hasła. Nie znaczy to jednak, że z tych łamów rzucimy np. hasło do obżarstwa, nie znaczy również, że rzucimy hasło do wstrzemięźliwości. Ot, naszym celem jest po prostu — Z — żart, świąteczna zabawa.

BABKI
i zajaczki
złoty abecadło
wielkanocne

A — A więc zaczynamy!

B — oczywiście babka, nie mylić z kociakiem, nie identyfikować z powiedzeniem „masz, babo, placek!” A nie identyfikować dlatego, że nasza babka sama



jest plackiem, o czym świadczy wiersz ze zbiorów Zygmunta Glogera na interesujący nas temat:

Babo, o babo przedziwnego smaku!
Zdobę cię lukier różanymi wzory,
Kolorowego nie szczędzono maku,
I w czub ci wpięto pęk bukszpanu spory.

Lekkaś, że dmuchnąć i nie będzie znaku,
Wskroś cię przejęty pachnące wapory,
I nikt w perfekcji twojej nie znajdzie braku,
Choćby to krytyk był zaiste skory.

„Jako puch jesteś!” — tak wyrzekł poeta,
Który na babach znał się także przecie,
A ja to stwierdzam i wierzę poecie.

C — ciocia — na święta na pewno przyjedzie. Jeśli nie na te, to na następne.

Cz — czub, mić w czubie. Także — częstować. Oto dwa dawne przysłowia na temat częstowania:

Częstował go, aż nie trafił do domu.
Częstowano go głową o stół.

Ten drugi poczęstunek stanowczo odradzamy, a to ze względu na kiepską wytrzymałość mebli produkowanych przez nasz przemysł państwowy.

D — dyngus. A propos dyngusa czytamy w „Opisie obyczajów” u Kitowicza:

„Była to swawola powszechna w całym kraju, tak między pospółstwem, jako też między dystyngowanymi; w poniedziałek wielkanocny mężczyźni oble-

Dokończenie na str. 5

NAJLEPSZE ŻYCZENIA
ŚWIĄTECZNE
SWOIM CZYTELNIKOM

SKŁADAJĄ
„Odgłosy”

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. Nr 16 (216)

Łódź, 22. IV. 62 r.

Cena

1 zł



Teresa Sawicka z lalką „Damayanti”. Recenzję z przedstawienia pt. „Nai i Damayanti” w Teatrze „Arlekin” zamieszczamy na stronie 7. Fot. A. Idziński

KRZYSZTOF POGORZELEC

UŚMIECHNIĘTA TWARZ MŁODZIEŻY?

CZTERYSTU MŁODYM LUDZIOM ZADANO 21 PYTAŃ: TWOJA KARIERA ZAWODOWA, CZY ODCZUWASZ LUKI W WYKSZTAŁCENIU, KIEDY I W JAKI SPOSOB AWANSOWALES, JAKĄ POMOC UDZIELAJĄ TOBIE W PRACY ZAWODOWEJ PRZEŁOŻENI — TO TYLKO NIEKTÓRZY Z POSTAWIONYCH „PYTAJNIKÓW”.

Adresatem tych pytań byli młodzi inżynierowie pracujący w łódzkich zakładach przemysłu włókienniczego. Rolę Instytutu Gallupa przyjęły na siebie Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Przemysłu Włókienniczego oraz Komitet Łódzki ZMS...

NOWOCZESNOŚĆ
I EKONOMIA

„Zaraz po studiach przyjęto mnie do jednej z łódzkich fabryk włókienniczych na stanowisko inspektora w dziale głównego energetyka. W pierwszej chwili poczułem się za-

biony wśród wielu spraw i obowiązków zawodowych. A już najgorzej było, gdy zaczął się okres urlopów. Wszyscy starsi koledzy odeszli i zostałem sam na „gospodarstwie”. Trzeba było podejmować ważne decyzje, od których zależała normalna praca fabryki. Nie byłem do tego przygotowany... Bałem się brać na siebie taką odpowiedzialność...”

Wiele się obecnie mówi o kwalifikacjach młodych inżynierów, którzy tuż po opuszczeniu sal wykładowych Politechnik idą do przemysłu. To jest problem nr 1. Spośród 237 ankiet, które miałem w rękach wynotowałem uwagi odnoszące się do tego tematu. Oto wyniki:

W 185 przypadkach odpowiadający stwierdzają, że ich kwalifikacje fachowe mimo posiadanego dyplomu inżyniera, a nawet magistra-inżyniera nie odpowiadają w pełni wymogom życia, a przede wszystkim zadaniom jakie stawia praca zawodowa w nowoczesnym zakładzie produkcyjnym. Jeden spośród „ankietowiczów” w taki sposób wyraża swoje zdanie:

„Na Politechnice spotkałem się z urządzeniami i maszynami, które od lat pracowały

i pracują jeszcze w polskim przemyśle włókienniczym. Niestety... miałem szczęście trafić po studiach do zakładu, w którym rozpoczął się już gruntowny proces modernizacji i wtedy okazało się, że moje wiadomości są bardzo szczupłe...”

Ta uwaga jest niezwykle charakterystyczna, ale i niepełna. Dodajmy więc jeszcze wypowiedzi innych absolwentów uczelni technicznych Łódzi, Wrocławia oraz Częstochowy. Stwierdzają oni, że studia dały im bardzo wiele jeżeli chodzi o podstawy wiedzy technicznej, „balast” teorii. Niestety dosyć zakurzony. Młodzi inżynierowie piszą, że w audytoriach Politechnik studenci jeszcze za mało mają kontaktu z rzeczywistością nowoczesnymi maszynami i urządzeniami. Tok ówczesnych i programów dofyca problemów i urządzeń, które wywierane są już z naszych zakładów produkcyj-

Dokończenie
na str. 2

ARYSTARCH

Rozmaitości
ze świata



BIEDNE PANIE DOMU

Minęły czasy, gdy o obowiązkach „nie pracującej” pani domu wyrażaliśmy się z powściągliwością podrykowaną względami natury towarzyskiej: „Dopiero gdy zabraknie gospodyni, widać jaką to ciężka praca — utrzymanie mieszkania w czystości i porządku”. Okazuje się, że zastosowanie w dzisiejszym gospodarstwie łódzkiej kochołów, prożniaków, pralek, odkurzaczy itp. (a w szczególności utrzymanie tych aparatów w stanie zdającym do użytku) pochłania tyle czasu, że mówi się: 1. o ludziach w niewoli cywilizacji (na zachodzie Europy) o tym, 2. że ilość roboczogodzin poświęconych gospodarstwu domowemu na sprzątanie, reperacje i posilkę dla męża i dziecka wynosi tyle, ile zabiera cała produkcja narodowa w rolnictwie i przemyśle (ankieta Narodowego Instytutu Studiów Demograficznych w Paryżu), oraz o tym 3. że uznana tradycyjnie za bardziej wyczerpującą pracę mężczyzny poza domem staje się z roku na rok mniej wyczerpująca i absorbująca, jednym słowem — lżejsza od pracy kobiety w gospodarstwie domowym. Przyczyny upatruje się w tym, że mechanizacja domu i kuchni bardzo nieznacznie zmniejsza czas wydatkowany na zajęcia w gospodarstwie, natomiast wielość i różnorodność obowiązków i zadań domowych przy dzisiejszych ulepszeniach i ułatwieniach rozprasza i rozciąga czas pani domu od chwili wyjścia męża do biura, a dzieci — do szkoły, aż do godziny ich powrotu i ułożenia dzieci do snu. Nie rozwiązuje tej sprawy tzw. pomoc domowa, bardzo kosztowna zarówno u nas jak i za granicą. Wysokość zarobków gospodyń domowych w USA na przykład osiąga sumy miesięcznego budżetu domowego wykwalifikowanego technika we Francji. Nie inaczej jest u nas, jeżeli do przeciętnej pensji „gospośi” doliczyć koszt jej wyżywienia.

ZIMNI DRANIE?

Do kłopotów domowych dołączają się znacznie poważniejsze kłopoty rodziców z wychowaniem dzieci i dorastającej młodzieży. Socjologowie i obserwatorzy młodzieży względnie pew-

Dalszy ciąg
na str. 4



HALINA MARIA DĄBROWSKA

Dnia 16 bm. zmarła tragiczną śmiercią Halina Maria Dąbrowska...

Rok temu Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich obchodził uroczyste jubileusz trzydziestolecia twórczości Haliny M. Dąbrowskiej...

Twórczość literacka Zmarłej echowała miłość prawdy i gorącą wrażliwość...

Jaki jest program działania Instytutu Medycyny Pracy?

Instytut Łódzki jest placówką naukową, która zajmuje się problemami medycyny w przemyśle...

Czy medycyna pracy jest odrębną specjalnością lekarską typu pionierskiego?

Czy do wykonywania tak odpowiedzialnych i szeroko nakreślonych zadań posiadamy odpowiednie kadry?

W jakim kierunku zmierzają badania naukowe łódzkiego Instytutu Medycyny Pracy?

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

doc. dr. TADEUSZEM DUTKIEWICZEM dyrektorem Instytutu Medycyny Pracy

- pionierskiej roli medycyny pracy
przyczynach wypadków
zadaniach lekarza przemysłowego
światowych osiągnięciach łódzkiego Instytutu Medycyny Pracy.

badania szkodliwych związków chemicznych wprowadzanych do produkcji i metodyki oceny ryzyka zawodowego...

A działalność usługowa... Czy w Instytucie prowadzi się takowa?

Jak najbardziej. Dotyczy ona ekspertyz w zakresie oceny toksyczności chemicznych i szkodliwych fizycznych występujących w zakładach pracy...

Czy można powiedzieć, że niebezpieczeństwo pracy jest obecnie mniejsze?

Tak, aczkolwiek tempo wzrostu bezpieczeństwa i higieny pracy nie nadąża za rozwojem przemysłu...

żywane w produkcji. Rezultatem tego jest wycofanie z produkcji szeregu szkodliwych dla zdrowia robotników...

Co jest główną przyczyną wypadków przy pracy?

Jedno i drugie. Przystąpił park maszynowy, niekiedy brak osłon i ochrony osobistych...

Mimo tylu wysiłków i bezsprzecznych osiągnięć w zakresie ochrony zdrowia robotników...



...a nawet i życia człowieka... Czy jest to wina samych zakładów?

Ostatnie zatrucia w „Borucie” należały do szczególnie ostrych i były spowodowane awariami...

Jak należy rozumieć funkcje lekarza przemysłowego w zakładzie pracy?

Lekarz przemysłowy musi posiadać gruntowną znajomość technologii produkcji, warunków pracy w zakładzie...

wiązki niemałe i wymagają odpowiedniego szkolenia lekarzy przemysłowych.

Czy Instytut Medycyny Pracy prowadzi prace dydaktyczne na rzecz przemysłowej służby zdrowia?

W ramach Studium Doskonalenia Lekarzy prowadzi my szkolenie specjalistyczne lekarskich kadr dla przemysłu...

Jakie są najczęściej spotykane choroby zawodowe wśród łódzian?

Zatrucia dwusiarczkiem węgla, benzenu, pylica płuc, zatrucia azbestowa, ołowica, zatrucia innymi substancjami...

Spotyka się też choroby tzw. wibracyjną u robotników narażonych na drgania przenoszące się z narzędzi...

I na zakończenie pytanie nieco innej natury w sprawie, o której ostatnio dużo się mówi...

Problemem tym zajmowało się kilka ośrodków naukowo-badawczych w świecie, nasz natomiast Instytut badań tego rodzaju nie prowadził...

Rozm. K. WIRZYKOWSKA

UŚMIECHNIĘTA TWARZ MŁODZIEŻY?

Dokończenie ze str. 1

nych. Po ukończeniu studiów młody inżynier czy technik staje wobec problemu konieczności gruntownego uzupełnienia swojej wiedzy fachowej...

Tych słów nie wolno lekceważyć. Pochodzą one od ludzi, którzy chociaż zajmują obecnie bardzo ważne i odpowiedzialne stanowiska w przemyśle...

Rzecz charakterystyczna, że znajdują oni braki nie tylko w swoich umiejętnościach technicznych, ale również związanych z administrowaniem i kierowaniem gospodarką zakładu...

Jedno z pytań ankiety brzmiało: „Czy po ukończeniu studiów nadal się kształcisz?”

Spośród 237 ankiet aż w 235 przypadkach spotkaliśmy się z uwagą: „Tak”. Tylko dwie osoby odpowiedziały: „Nie, nie mamy czasu”.

Absolutnie wszyscy z biorących udział w ankiecie podkreślają konieczność doskonalenia się. Stwierdzają, że bez tego praktycznie nie mogliby wykonywać swoich czynności

zawodowych. Co więcej - twierdzą, że nie chodzi tylko o problem uzupełnienia wiedzy. Chodzi im także o stały kontakt z światowymi „nowinkami” technicznymi...

Metody i formy tego doskonalenia są bardzo różne, ale w przeważającej mierze „technika” uzupełnienia wiadomości polega na ogólnym pilnym śledzeniu czasopism naukowo-technicznych. Tutaj warto zasygnalizować jeszcze jeden problem: młodzi inżynierowie mogą korzystać na ogół tylko z wydawnictw krajowych...

Padło słowo - wniosek. Młodzi ludzie, którzy zadali sobie trud wypełnienia ankiet wysuwają również jeszcze inny postulat.

„Nie mam możliwości rzetelnego doskonalenia się, gdyż mam duże obowiązki zawodowe, a poza tym rodzina... Proponuję, by Politechniki lub inne uczelnie techniczne nie zrywały kontaktu ze swoimi wychowankami...

Aż 115 osób chce na ten cel poświęcić część swojego urlopu wypoczynkowego, a skoro liczba bo 57 „ankietowiczów” chętnie by widziała

takie kursy organizowane przez stowarzyszenia naukowo-techniczne.

STAŻ - CZYLI O NIEKONSEKWENCJI

„Staż pracy” dla młodego inżyniera i technika jest może i słusznie pomysły, lecz pozycja młodego fachowca odbywającego staż jest prawie żadna...

To znowu wyjątek z ankiety. Zresztą - nieodosobniony. Zacytujmy więc jeszcze inny: „Stażysta idzie do zakładu i zwykle trafia do rąk ludzi najmniej kompetentnych w zawodzie... Nie dosobniony. Zacytujmy więc jeszcze inny: „Stażysta idzie do zakładu i zwykle trafia do rąk ludzi najmniej kompetentnych w zawodzie...”

Ten fakt podkreślają wszyscy, którzy wzięli udział w omawianej przez nas ankiecie, przy czym winą za ten stan rzeczy obarczają nie tylko przemysł i organa nim kierujące, lecz również uczelnie. Zdanem „ankietowiczów” funkcja wyższych uczelni technicznych srodowna się obecnie do ustalenia adresu fabryki i administracyjnego rozdzielania miejsc stażu wśród studentów...

„Kierownictwo wydziału w ogóle się nami nie interesowało, nie ich nie obchodziliśmy i nie wiedzą nawet jak my ten staż odbywamy, co z niego wynosimy... Przydzielano nas w zależności od przypadku na różne stanowiska pracy wypełniając w ten sposób tu i ówdzie powstające luki. Nikt nas nie zapytał jak nam idzie praktyka, nikt nas nie starał się zapoznać z kolejnymi etapami produkcji, z organizacją fabryki, z jej problemami ekonomicznymi... Nie każdym krokiem spotkaliśmy się z obywatelnością i traktowano nas jak byśmy w ogóle nie istnieli”.

Przytoczone tutaj wyjątki wypowiedzi młodych inżynierów stawiają pod znakiem zapytania wartość i przydatność praktyk zawodowych nie w ogóle, ale właśnie TAK ZORGANIZOWANYCH. Nie dziwnego, że w tych

warunkach młody inżynier mający w kieszeni dyplom wkracza po studiach do zakładu z etykietką „nieudoczynzonego fachowca”.

Wystawia to złe świadectwo nie tylko naszym uczelniom technicznym, ale kto wie czy nie przede wszystkim kierownikom zakładów, które lekceważą problem należytego wzbogacenia o wiedzę praktyczną młodego nabytku technicznego.

MŁODOŚĆ PROSI O PARAGRAF

Ankieta poruszyła także nieco drażliwy problem awansu młodych ludzi, którzy po studiach idą do zakładów produkcyjnych. Ze względu na to, że odpowiadający należą do tych, którzy już przeszli „ogniową próbę” pierwszych lat pracy zawodowej i zajmują obecnie nieraz bardzo eksponowane stanowiska...

„Stosunek przełożonych do mnie? Obojętny. Nie interesują się mną, chyba że systemem specjalnie potrzebny”. „Współpraca z kierownictwem? Dobra - szef patrzy na mnie jak na wilka”. „Niestety, nie pomagają mi, zresztą nie mamy wspólnego języka, gdyż w dużej części są to ludzie pozabawieni wysokich kwalifikacji zawodowych”.

To są zdania wypowiedziane przez 115 młodych inżynierów, a więc jest to zdanie sporego odsetka ogółu biorących udział w ankiecie. Charakterystyczne przy tym, że młodzi ludzie łączą ten stan rzeczy z jednej strony z brakiem przepisów prawnych normujących przebieg zawodowej kariery młodego inżyniera...

Na pewno ten obraz przeciętnego młodego inżyniera pracującego w fabryce przemysłu włókienniczego jest bardzo złożony i nie przypomina uśmiechniętej twarzy z plakatu. Być może nawet niektórym wyda się on fałszywy. Ale fakty mówią same za siebie: W Hucie „Lubedy” w roku 1958 przyjęto do pracy 60 młodych inżynierów. Po roku do innych przedsiębiorstw nie wyłączając handlowych odeszło pięćdziesięciu. To także fakt.

Stąd też chyba bierze się wrażenie, że część starej kadry, która obecnie zajmuje kierownicze stanowiska nie posiadając równocześnie odpowiednich kwalifikacji...

Tutaj słowo o propozycji wymienionych w ankietach: młodzi nie marzą absolutnie o gwałtownej karierze. Niemal we wszystkich wypowiedziach - dokładnie w 220 przypadkach - spotkaliśmy się ze zdaniem, że świeżo upieczony inżynier powinien stopniowo przechodzić wszystkie szczeble technicznego wtajemniczenia...

Typowa droga powinna wieść od stażysty pracującego na stanowisku roboty, poprzez mistrza oddziałowego, by wreszcie sięgnąć do stanowisk określanych mianem kierowniczych. To jednak co uderza w tych wypowiedziach nazywa się „ścisłym przestrzeganiem tej zasady, rzeczywistość opieka nad młodymi ludźmi, określeniem czasu trwania poszczególnych etapów kariery zawodowej młodego inżyniera”.

Chcieliby oni w drodze przepisów ustalić odbywanie stażu do roku, a następnie powinny przejść inne etapy zamykające się w granicach od półtora do dwóch lat. I wreszcie winier następować awans. Ale znowu nie automatycznie. Aż 97 osób pisze, że najlepsza forma sprawdzenia umiejętności i kwalifikacji byłby egzamin konkursowy składane przed ludźmi rekrutującymi się nie z fabryki, w której pracuje młody inżynier, ale przedstawicielami uczelni technicznych i stowarzyszeń twórczych.

* * *

A więc? Na pewno ten obraz przeciętnego młodego inżyniera pracującego w fabryce przemysłu włókienniczego jest bardzo złożony i nie przypomina uśmiechniętej twarzy z plakatu. Być może nawet niektórym wyda się on fałszywy. Ale fakty mówią same za siebie: W Hucie „Lubedy” w roku 1958 przyjęto do pracy 60 młodych inżynierów. Po roku do innych przedsiębiorstw nie wyłączając handlowych odeszło pięćdziesięciu. To także fakt.

KRZYSZTOF POGORZELEC

BABKI na świątecznym STOLE

Jest czas uctowania i czas relaksowania — powiada biblia dzisiejszego człowieka pocziwego. Ten błogosławiony czas zbliża się ku nam wielkimi i radosnymi podskokami. Święta! Święta! Sława obywatelstwa i nierobstwu. Gaudemus... Nie samą jednak zrynką człowiek żyje... zwłaszcza wiosną (tą kalendarzową) Na świątecznym stole nie może zabraknąć strawy duchowej! A któż jej Wam dostarczy, Mili Czytelnicy, jeśli nie mieszanka filmowa troskliwie czuwająca nad waszym rozwojem intelektualnym i kulturalnym. Strawa świąteczna musi być lekka i ładnie podana. Żywiąc zatem nadzieję, że nasze menu przypadnie Wam do gustu, pozwolimy sobie uraczyć Was paroma przysmakami z filmowej kuchni.

Pierwszeństwo mają kobiety (wiadomo, boróweczka dla Ewy!)

A więc następnie największa bomba wiosennego sezonu na drugiej półkuli. Marylin Monroe nie koronowana królowa amerykańskich ekranów znalazła wreszcie swój męski ideał (któryś tam z rzędu). Wybrał się Josu i boskiej Marylin jest 31-letni Meksykanin Jose Bolanos. Bolanos uchodzi za jednego z najwybitniejszych i najbardziej obiecujących pisarzy amerykańskich. Piszze także dla teatru i filmu. Marylin poznała go na jednym z cocktailów urządzonych na jej cześć podczas jej ostatniego pobytu w Meksyku. W 48 godzin po wyjeździe Monroe, Jose przyjechał za nią do Hollywood. Tworzyli nierozłączną parę, pokazując się wszędzie tam, gdzie wszyscy mogli ich zobaczyć.

Cały Rzym trzęsie się od plotek na temat innej nie

mniej słynnej gwiazdy amerykańskich ekranów. Film „Kleopatra” który zyskał już sobie przydomek filmu „Kalwarii” kosztuje grube miliony dolarów. Usłużna prasa robi więc wszystko aby wywołać wokół niego jak największe halasy i zapewnić mu jak największą ilość artystycznych i nieartystycznych emocji widzów. Tematem plotek i „subtelnych” aluzji włoskiej prasy stał się romans Elisabeth Taylor z Richardem Burtonem, który w filmie „Kleopatra” gra rolę Marka Antoniusza. Burton ma 37 lat, żonę i dwoje dzieci. Jako aktor zdobył sobie duże powodzenie w rolach szekspirowskich. Z Elisabeth znają się już od 15 lat. Jestem jej przyjacielem — mówi Burton — ale poza tym nie więcej nas nie łączy. Mimo tych oficjalnych demencji składanych przez osoby zainteresowane, fama o nowej miłości Liz zatacza coraz szersze kręgi. Wiązano z nią nawet ostatni pobyt aktorki w rzymskiej klinice Salvator Mundi. Zaniepokojony Eddie Fischer przerwał swoje tournée w Portugalii i zjawił się u węgłowa pięknej małżonki.

W arystokratycznych kołach Europy z przykrością przyjęto wiadomość, iż księżna Grace Kelly zgodziła się (za milion dolarów!) grać w nowym filmie mistrza sensacyjnych Hitchcocka. Bohaterska decyzja Grace Kelly pozostaje nie bez związku z fatalną sytuacją finansową księżstwa Monako. Prawdziwa i miłująca swych poddanych władczyni musi zgodzić się na wiele ustępstw i ofiar dla dobra ogółu. Los władców nawet w księstwie Monako nie jest tak łatwy, jakby to się na pod-



Joan Blackman i Elvis Presley

stawie chociażby operetek wydawać mogło.

Na ekrany wraca również inna aktorka, która dla męża porzuciła filmowe laury — piękna Lucia Bose. Ponieważ jej mąż, najświetniejszy tenor Hiszpanii, Dominguin, nie dotrzymał danego w dniu ślubu słowa i wystąpił na arenie, Lucia postanowiła również złożyć obietnicę. Dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, będziemy mieli przyjemność, (którą nam chyba CWF z okazji świąt nie odmówi) oglądać ją niezadługo w filmie „Wzzechświat nocy”.

Wszystkim wielbicielem Gregory Pecka — a imię ich miłom — donosimy z nie tająną radością, że ich ideał liczy sobie 46 lat. W roku 1943 otrzymał swe pierwsze engagemment teatralne i wkrótce potem ożenił się z charakterystyczną zespołu — Gretą. W roku 1953 bawiąc z okazji „Rzymskich wakacji”, udziała w wywiadzie czarującej dziennikarce, Veronice, przedstawicielce francuskiej wer-

sji mieszanki filmowej, czyli tygodnika „Cinemat”. W roku 1955 następuje zmiana żon i miejsce Greta obejmuje Veronika, (tragiczne skutki udziału w wywiadzie). Obecnie Peck jest kochającym mężem i ojcem pięcioro dzieci, z których najstarsze liczy sobie 18 lat.

Natomiast Antony Perkins ma dopiero lat 29 i jest kawalerem. Grał już obok tak znakomych partnerów jak Melina Mercouri, Sophia Loren, Ingrid Bergman. Chciałby bardzo zagrać z B.B. Uwaga jednak, że ideałem kobiecości jest Ingrid Bergman. Gdy Ingrid mówi: „jaka dziś ładna pogoda” to nie jest to bynajmniej utarty zwrot konwersacji lecz zdanie, które wychodzi z duszy Ingrid i gra całą gamą cudownych odcieni. Tony lubi przebywać w towarzystwie młodych dziewcząt, ale nie znosi, gdy są płaczliwe, zachwale lub przemądrzałe. Otrzymuje około 150 milionów franków za film, ale żyje bardzo skromnie w swoim paryskim mieszkanku na ósmym piętrze. Nie flirtuje, podobno czyta Camusa, Kafkę i „Przygody Micky Mause”. (sic) Boi się zestarzeć, ponieważ jego urok polega na tym, iż budzi on w kobietach uczucia opiekuńcze i macierzyńskie.

Na zakończenie coś dla najmłodszych czytelników „Mieszanki”. Elvis Presley został zawojowany i to jak mówią na amen przez swą czarującą partnerkę z filmu „Kid Gallahad” — Joan Blackman. Joan — dziewczyna promienna elektrycznością (określenie prasy amerykańskiej) grała już z Elvisem w „Błękitnych Hawajach”. Uwaga s.e.: ja powszechnie za następczynię Elisabeth Taylor i Avy Gardner tudzież za kandydatkę do ręki Presleya. Uwodzielski Elvis ma już na swym koncie około 30 poważniejszych flirtów oraz jeden głośny romans z Juliet Prowse. Wszyscy jednak twierdzą zgodnie, że tym razem to już naprawdę. Wobec czego zespół mieszanki śpieszy z jak najserdeczniejszymi życzeniami dla młodej pary. A wszystkim naszym Czytelnikom „Wesołego, jajka”.

M.K.



Marylin Monroe i José Bolanos

WIOSENNA MIESZANKA FILMOWA

WIOSENNA MIESZANKA FILMOWA

WIOSENNA

FILMOWA

WIOSENNA MIESZANKA FILMOWA

WIOSENNA MIESZANKA FILMOWA

O'Neill jedzie w teren

Etykieta najznakomitszego dramaturga amerykańskiego sprzed przeszło trzydziestu laty, kiedy był „egzotykiem, brutalny, romantyczny i zupełnie nowy”, nie powinna nas już bulwersować. „Anna Christie” to typ teatru dawno zdystansowanego przez film, teatru, który nie ma szans, aby za jasnieć nowym światłem, zwłaszcza, że jest jednowarstwowy, moralizatorski, z pseudo-brutalizmami, wpatliwej wartości, które w lepszym wydaniu mogliśmy oglądać u Tennessee Williamsa, Artura Millera, czy nawet Saroyana.

Przypomnienie O'Neilla, reżysera lat dwudziestych naszego wieku, może, oczywiście mieć pewien sens dramatyczny. Jego dramaturgia jest ważkim egzemplum świadczącym o tym, że dramaturgia amerykańska zeszła się nieodwołalnie, że już zeszedł z tronu, skąd fascynował przez lata swą egzotyką i szorstkością. Niestety, „Anna Christie”, nie przynosi nowych wartości scenicznych, językowych, koncepcyjnych, etycznych czy filozoficznych. Zresztą tych ostatnich ambicji sztuka nigdy nie posiadała.

Ionesco, Beckett, Genet, wprowadzili eschatologiczną nieomal dewaluację starego dramatu moralizatorskiego, dramatu z leżąca filantropijną dla biednych ludzi z marginesu społecznego, z historycznym już dzisiaj demokratyzmem, dramatu z pseudorealistycznym, z bagażem konfliktów psychologicznych, intelektualnych, na które reagujemy teraz wzruszeniem ramion.

Ekspresja losów Anny Christie zwiertzała dziś nie dlatego, że kryteria etyczne uległy aż tak generalnemu przewrótowi. Nie bliższego nam czasom niż pewnik, że „kurwa też człowiek”, nie dlatego, że Anna została w szesnastym roku życia uwiedzona przez jakiegoś byczka, co zdążyło się rzekomo o jej drodze życiowej, nie dlatego, że psychologia spotkania ojca z córką po piętnastu latach jest tu il tylko psychologią znaków i hasel. Darmo czeka się na jakiś przekonywujący szczyt, na zgryz metaforyczny, symbol. Rysunek anegdotalny zastępuje wszystko.

Stajemy dzisiaj zakłopotani wobec tak zwanego amerykańskiego teatru ekspresjonistycznego z jego whitmanowskim, społecznikowskim paniclem, który zeszedł na pozycję „obyczajówki”. Nie można odmówić O'Neillowi zasług wypracowania pewnego schematu, nawet klimatu, który nieestety powielany wielokrotnie dostatecznie dzisiaj może nam obrzydzić pierwowzór.

Kleska „neillizmu” jest kleską techniki „obrazków amerykańskich”, jest dregreglacja potocznej gadulstwa, upadkiem przypowieści jednoplanej z morałem, jest aspektem niemożności usatysfakcjonowania widza głębszymi, heterogenicznymi elemen-

tami kompozycji losu ludzkiego. A przecież dramaturgia współczesna mobilizuje formy skrótu, dialogu asocjacyjnego, wysokiego napięcia. Jest wieloaspektowy.

Oczywiście, „obrazek amerykański” z wydzieleniem moralizatorskim ma szansę funkcjonowania tam, gdzie widz jest przygotowany do wyższego stopnia odbioru tam, gdzie trzeba zawrzeć w formie nieco zwulgaryzowanej perypetie anegdoty literackiej w ostatnich czterdziestu latach. Jakże młoda i trudna jest w tej całej historii nasza Złotówka!

Reżyserowi, Czesławowi Staszewskiemu, który zaprezentował „Anne Christie” w PTZL, udało się, co pożytuje za jego główną zasługę — odpatetyzować w pewnym stopniu klimat sztuki. Jakkolwiek nie zdołał wyeliminować nieoczekiwanych peknęć z niezamierzonymi groteskami i efektami. Rola tytułowa Wiesławy Grochowskiej była chyba najciekawsza. W miarę zmodernizowana, w miarę współczesna, w części zwłaszcza wspomnieniowej, jakkolwiek nie dekoracyjna.

Zbigniew Szymczak, Jerzy Staszewski, Kazimierz Jaworski, Kazimierz Wójcikowski i Alicja Sobieraj nie grają banalnie, są sprawni, poprawni, nacechowani dostateczną neutralnością aktorską. Scenografia może się podobać lub nie. Mnie się nie podobała.

JERZY WALEŃCZYK

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, „Anna Christie” — Eugene O'Neill, przekład K. Piotrowski i B. Zieliński. Reżyseria: Czesław Staszewski, scenografia: Marian Stańczak.

Książka-dokument

Gdyby Pawlikowski pracował w wielkiej europejskiej metropolii teatralnej, miałby niewątpliwie „swój teatr” i „swój” szkółkę i literaturę całą o sobie. U nas jedynie bliska mogło to światło sztuki.

ADAM ZAGÓRSKI

Sierozna literatura teatrológiczna, wzbogaciła się o nową i bardzo cenną, mimo że nie sygnowaną przez Zakład Historii i Teorii Teatru Instytutu Sztuki PAN publikację.

Praca Franciszka Pajczkowskiego „Teatr lwowski pod dyktando Tadeusza Pawlikowskiego 1900-1906”, bo o niej tu mowa, wydana nakładem Krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, ma na celu wypełnienie powstanej luki w naszym piśmiennictwie teatrológicznym.

Chyba nieprzypadkowo książka Pajczkowskiego ukazała się właśnie w okresie, kiedy miła senna rocznica urodzin wielkiego reformatora teatru polskiego — Tadeusza Pawlikowskiego. Szerzej publikacji, życie wzięty w okresie ostatnich pięćdziesięciu lat dotyczy il tylko (krakowskiej) działalności tego teatrala, że użycie określenia Witkiewicza.

Książka Pajczkowskiego stworzyła przed nami najmiej zany okres twórczej pracy Tadeusza Pawlikowskiego — dyrektora, reżysera i pedagoga. Praca Pajczkowskiego jest

owocem imponujących lektur, świadczą o tym bogate przypiski i sumiennie opracowany wstęp o charakterze bibliografii odnotowującej prawie wszystkie dotychczasowe poważniejsze publikacje o teatrze lwowskim i jego dyrektorze.

W początkowych rozdziałach swej książki autor zajmuje się ogólnymi sprawami teatru lwowskiego w okresie poprzedzającym dyrekturę Pawlikowskiego oraz całym sześciolciami tej dyrektury.

Dalsza część książki spełnia rolę przewodnika po repertuarze i biografii artystycznych aktorów. Nie mówię już o tym, że każdy punkt repertuarowy i każde nazwisko poparte są kilkunastu lub kilkudziesięciu wypowiedziami ówczesnych recenzentów teatralnych prasy lwowskiej, która autor przejrzał, wynotował i drogą analitycznej selekcji umieścił w książce.

Na plus tej interesującej pozycji, należałoby założyć przy bogaty i rzadko publikowany materiał zdjęciowy, będący niekiedy jedynym dokumentem po aktorze, po przedstawieniu, po teatrze. I dobrze się stało, że Pajczkowski wykorzystał w swej pracy zbiory polskiej ikonografii teatralnej, bardzo zrzędzonej i lekceważonej.

Książka posiada zestaw, nota bene bardzo szczegółowy, repertuaru teatru lwowskiego w Lwowie od 30 października 1900 roku do 30 czerwca 1906 roku oraz dysponuje materiałem związanym z początkową fazą dyrektury Tadeusza Pawlikowskiego.

W ogromie tytułów, dat i nazwisk zagubły się nawet lajwytrawniejszy czytelnik, na to jednak nie pozwala autor dając nam do dyspozycji indeksy sztuk i nazwisk. Wspomnam o tym choćby dlatego, że nie każda publikacja jest opatrzona tabelą udogodnień (patrz „Almanach sceny polskiej” sezon 1959-1960” Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1961).

Wydać mi się, że lepiej by było, gdyby autor poświęcił chociaż kilka lub kilkanaście stron na podsumowanie i jakąś ogólną materię faktograficzną. Tego rodzaju wnioski zbliżyłby nam samego Pawlikowskiego jako twórcę. Polscy twórcy jednemu należy przebogaty, materiał dokumentalny.

K. A. LEWKOWSKI

Franciszek Pajczkowski „Teatr Lwowski pod dyktando Tadeusza Pawlikowskiego 1900-1906” Wydawnictwo Literackie, Kraków 1961.

Warszawa młodych

„Znajdźcie mi drugi taki gród Górnych i durnych pelen dum.”

Motto to rozpoczyna jeden z rozdziałów książki doc. Anieli Kowalskiej „Warszawa literacka w okresie przełomu kulturalnego 1815-1822” Autorka nie darmo przytoczyła ten fragment „Piosenki do Warszawy”; chociaż jej bowiem o wykreślenie jak przegna, pełna apieczności, salcowa i sprokowna na zewnątrz, a sprostowana i rozdzielona wewnątrz była zawsze stolica Polci. O ten, w którym zamyka się książka, obejmuje przedmiot romantyzmu. Jest to czas zna-

Dokończenie na str. 7



Korespondentem niemieckiej gazety „Berliner Botschafter” w Kopenhadze był Horst von Pflug-Hartung. W stolicy Danii przebywał od 1938 roku. Dziennikarz, arystokrata niemiecki szybko zadowolił się w Kopenhadze, był w najlepszych domach arystokracji duńskiej, otworem przed nim stały rządowe instytucje, dobrze był znany premierowi Danii i jej ministrowi spraw zagranicznych — panom Stauningowi i dr Münchowi. Ale jeszcze lepiej znany był szerokim kręgiem niemieckim, szczególnie zaś obywatelom duńskim, mówiącym po niemiecku, a mieszkającym w rejonie północnego Szlezwiaku.

Toteż nie było jaką sensacją wywołał fakt aresztowania przez władze duńskie w październiku 1939 roku pana von Pflug-Hartunga. Prasa duńska szeroko rozpiszała się na ten temat, przynosząc z dnia na dzień coraz bardziej zaskakujące wiadomości, z których wynikało, że berliński korespondent stał na czele zorganizowanej przez siebie szajki szpiegowskiej. Grupa ta, składająca się z dziewięciu obywateli duńskich pochodzenia niemieckiego zbierała wiadomości o przewozach morskich, o ruchu w portach Danii i uzbrojeniu nadbrzeżnych fortec.

Mineło kilka tygodni, uciechła sprawa von Pflug-Hartunga, gdy znów miejscowa prasa podała wiadomości o wykryciu i likwidacji nowych organizacji szpiegowskich. Choć każda z nich miała inne zadania, wszystkie jeżył jeden znamienny szczegół: obrzamią większość członków tych organizacji stanowili Niemcy — obywatele duńscy...

Co trzeźwiejsi w Danii z niepokojem przyglądali się tym wypadkom, konfrontując je z sytuacją, jaka powstała zimą 1939/40 roku w basenie Morza Bałtyckiego, niedaleko wybrzeży Danii i Norwegii. Ten rejon Morza Bałtyckiego był w tym czasie obszarem międzynarodowego napięcia. Przebakiwano wówczas o angielsko-francuskich planach desantu w Norwegii. Oczekiwano jakiś konkretnych posunięć rządu duńskiego. W Danii więcej mówiono o groźbie hitlerowskiej, nawisłej nad Norwegią i Szwecją, aniżeli zastanawiano się nad najbliższymi losami własnego kraju. Przecież między Danią

TROJAŃSKI KOŃ DANII

a Niemcami zawarty był pakt o nieagresji...

Interpelowany przez opozycję parlamentarną premier Stauning w sprawie wzmoczenia działalności niemieckich grup szpiegowskich w Danii, odpowiedział z lekceważeniem: „Dla rządu te sprawy są oczywiste, w każdym kraju działają szpiegowie. W końcu my ich likwidujemy. Nie widzę powodu do jakiegos szczególnego zaniepokojenia...”

I właśnie na tym rzecz polegała. Rząd duński nie widział „powodów do zaniepokojenia”, natomiast członkowie „Ligi Niemców w Danii”, wspomaganii przez swych ziomków ze „Związku Niemców za Granicą” (Verein für das Deutschtum in Ausland) ujawniali coraz więcej tupetu i bezczelności. Tak np. w mieście Odensee na niemieckiej fabryce wywiesili transparent z napisem: „Nasza ziemia tutaj jest częścią Niemiec!” („Unseres Land hier ist ein Stück von Deutschland!”), (podkr. J. D.).

Piąta kolumna w Danii poczyniała sobie coraz pewniej... Była niedziela 7 kwietnia 1940 r. Do mieszkanca ministra spraw zagranicznych Danii dr. Müncha dostarczono pilną depeszę. Ministerialni szwacznicy zdążyli już odszyfrować telegram posła duńskiego w Berlinie. Posel domyślił: „Dowiedziałem się, że 4 kwietnia wyszedł ze Szczecina duży łosciowy transport. Płyną w kierunku zachodnim. Miejsce docelowe nie ustalone. Wiadomo jedynie, że powinien dopłynąć do celu 11 kwietnia...”

Dr Münch zajął od sztabu armii i floty natchmiałostwo informacji. Flota duńska niczego nie zauważyła, a generalny sztab zawiadomił o braku jakichkolwiek danych o koncentracji niemieckich wojsk w południowej części Półwyspu Jutlandzkiego, jak również o jakimś niezwykłym wzroście w porcie kłofskim. Czyżby fałszywy alarm posła duńskiego?...

W ciągu poniedziałku 8 kwietnia rada ministrów rządu duńskiego zastanawiała się nad meldunkiem zwiadu powietrznego, który donosił, że zauważono na morzu okręty niemieckie płyną w kierunku północnym. Czy ogłoszono mobilizację, czy Danii zagraża realizacja niebezpieczeństwa? Dr Münch zaprosił do siebie niemieckiego posła w Danii von Rente-Finka. „Wasza ekspedycja — odpowiedział posel na wyrażone obawy ministra — ogłoszenie mobilizacji wobec tak wątpliwych faktów, wywołałoby w Berlinie” bardzo nieprzyjemne wrażenie. Przecież naszymi krajami istnieje pakt o nieagresji...”

Ale już nazajutrz — zapamiętajmy tę datę i godzinę — 9 kwietnia o godz. 4 rano (podkr. J. D.) w ministerstwie spraw zagranicznych zjawia się posel von Rente-Fink i

zawiadamia dyżurnego urzędnika, że otrzymał ważne instrukcje z Berlina, w myśl których musi prosić ministra o audiencję o godz. 4.20. Zbudzony ze snu minister przykrymuje posła, który wręcza mu... ultimatum rządu Hitlera.

W tym samym czasie, kiedy duński minister spraw zagranicznych nie wierząc własnym oczom zaznajmiał się z treścią ultimatum niemieckiego, siły zbrojne armii hitlerowskiej przesyły już granicę duńską i rozpoczęły zajmowanie Kopenhagi. W godzinę później okazało się, że większość rządowych gmachów i instytucji jest już obsadzona przez Niemców. Na ulice Kopenhagi wyległa piąta kolumna — miejscowi obywatele pochodzenia niemieckiego. Z okrzykami triumfu i radości pokazywali żołnierzom Wehrmachtu ważniejsze obiekty, byli przewodnikami i tłumaczami. Przy takiej pomocy było tylko kwestią niecałej godziny, by radio, poczta, telegraf, telefon, dworce kolejowe znalazły się w rękach okupanta. Okupant w swych poczynaniach na ziemi duńskiej wcale nie improwizował. Długie miesiące dokładnego przygotowywania piątej kolumny teraz święciły sukces. I choć gwardyjski pułk w Kopenhadze stawiał opór niemieckim wojskom, zajmującym stary fort Kastellet, i choć w południowej Jutlandii wojska armii duńskiej starły się z najeźdźcami — daremnie były te dowody bohaterstwa i patriotyzmu. W 3 godziny po wejściu Niemców do Danii, rząd duński ogłosił kapitulację.

I aby obraz współpracy i to niezwykłej aktywnej współpracy piątej kolumny w Danii z regularnymi wojskami Wehrmachtu stał się pełniejszy, warto jeszcze dodać, że kilka oddziałów armii hitlerowskiej które przybyły do Danii na kilka dni przed najazdem, ukrywały się w 6 wagonach towarowych, na pokładzie kolejowego promu, kursującego między portem niemieckim Warnemünde a Gedser. Miejscowi Niemcy, obywatele duńskiego miasta Gedser, postarali się o to, by o obecności tych żołnierzy nikt się nie dowiedział. Mogli to zrobić — bo oni właśnie obsługiwali prom w Gedser! A gdy nastął ranek 9 kwietnia 1940 roku wyszły z wagonów na ulice portowego miasta, niemieccy Grecy z trojańskiego konia...

Ciemności zasnuły ziemię duńską. Trwoga i niepewność ogarnęły Duńczyków. Jeszcze leden naród, który na skutek krótkowzroczności i tchórzostwa własnego rządu otrzymał niespodziewanie śmiertelne uderzenie. O jednym wieleli Duńczycy już teraz na pewno: Niemcy, którzy traktowali jak pełnonprawnych wsoł obywateli — byli czynnymi wsołnikami najeźdźców hitlerowskich.

rozmaitości ze ŚWIATA
Arystarch
BIEDNE PANIE DOMU
Dalszy ciąg ze str. 1
nnych jej kręgów inteligentnych na Zachodzie są zdania, że jest ona „wyobcowana”, to znaczy, że źle się czuje we współczesnym świecie, który jest jej obcy i nienawistny. Młodzi synowie bogatych Amerykanów mają zmartwienia i wątpliwości.

gdy po prostu znajdują się między sobą. Zapewnia on, że młodzi posiadają odrębny, własny styl życia, polegający na tym, że nie posiadają żadnego stylu, oprócz obojętności. A więc, „zimni dranie”? Coś w tym rodzaju. Dobrze wyraża tę swoista postawę życiową jeden z najbardziej uzdolnionych pisarzy amerykańskich średniego pokolenia. Styron, mówiac przez usta bohatera: „Trzeba pozwolić tym starym zdechnąć, może w końcu okaże się, że nie są oni tacy szmatławi jak myślimy”. Najbliższy zaś ludzium młodej generacji pisarz J. D. Salinger, którego powieść „Buszujący w zbożu” ukazała się w ubiegłym roku nakładem „Iskier” zdaje się wyrażać w swych opowiadaniach pogląd, że USA stały się chyba dla młodzieży nie zamieszkałą pustynią księżycową, na której nie można oddychać inaczej niż przy pomocy żelaznych płuc.

Wielokrotnie poruszana sprawa w prasie francuskiej jest problemem wczasów, w którym socjologowie i pu-

blicyści upatrują jedno z wielowych zagadnień cywilizacji drugiej połowy XX wieku. A jednak zdaniem znawców w świadomości narodów Europy nie dojrzało jeszcze należyte zrozumienie wagi tego kapitalnego zadania, przed rozwiązaniem którego stoi cały świat. Przed 150 laty mówiono, że „szczęście jest w Europie idea, względnie pojęciem nowym”. Dzisiaj, twierdzi publicysta tygodnika „Arts”, można powiedzieć to samo z tą różnicą, że poszukiwanie nowych wrażeń i przyjemności nie jest tylko nową falą, ale w czasach cybernetyki i automatyzacji — nową erą cywilizacji, stylem życia. Pojęcie wczasów jest niezmiernie pojemne, mieszczą się w nim i dawne „wakacje”, i dawny „urlop” i sport, i rozrywka, i lektura, i flirt, i turystyka, i — dodajmy — nasz polski autostop itd. itd. A w ogóle wczasy są celem samym w sobie. Pod tymi różnorodnymi formami wypoczynku współczesnego człowieka kryje się poważne ostrzeżenie pod adresem rozmaitych moralności, filozofii i religii. Obserwatorzy zjawiska zwanego „wczasa-

mi” zwracają uwagę, że z rozwojem i upowszechnieniem wypoczynku pod jego różnymi postaciami daje się, na przykład, zauważyć spadek frekwencji w świątyniach wszystkich wyznań. Zwykła codzienna obserwacja stylu życia zbiorowego w krajach wysoko uprzemysłowanych potwierdza te sprostowania. Masowe wyjazdy turystyczne i rajdy samochodowe na koniec tygodnia tzw. week-end, odciągają wiernych od ich przyzwyczajają i uczęszczania dawnym wzorem ojców na poranne niedzielne nabożeństwa. Dzień świąteczny spędza się w lesie, w górach, nad morzem. Kwestia odległości przestaje być problemem. Dziś przy nowoczesnych środkach komunikacji — skuterach, mikrusach i kolejach elektrycznych wszędzie jest blisko.

GDZIE TU POCZĄTEK?
I na zakończenie — o antypowieściach z których (w wąskim znaczeniu tego pojęcia) przetłumaczono u nas z literatury francuskiej trzy utwory: Butora „Odmiany czasu”, Natalii Sarraute „Portret Nieznajome-

go” i Robbe-Grilleta „Gumy”. Termin został ukuty przez Sartre'a, który w przedmowie do „Portretu Nieznajomego” użył terminu antypowieść na określenie utworów, których celem jest „zakwestionowanie powieści przez nią sama, zburzenie jej na naszych oczach”. Przeważnie idzie o napisanie powieści na temat powieści, tak jak to zrobił polski autor Wilhelm Mach w utworze „Góry nad Morzem Czarnym”. Zagadnienie antypowieści, jej sensu i znaczenia wzbudza sprzeczne oceny wśród krytyków i czytelników. Gozrej, gdy z tego nowego rodzaju literackiego robi się igrazkę, jak to uczynili ostatnio Butor i Saporta. Pisarze ci spłodzili powieści, które można czytać w różnych kierunkach. Odczytanie w kolejności rozdziałów od początku do końca daje inny sens niż gdy się czyta od końca lub od środka do początku, względnie gdy przedstawia się rozdziały jak klocki w łamigłówce. Jest to swoiste mistrzostwo, gdyż zawsze otrzymuje się jakiś szczególny sens. Ale czy taka zabawa jest literaturą.

TADEUSZ  GICGIEK

BABKI

izajacki

CZYLI ABCDZIO WIELKANOCNE

Dokończenie ze str. 1

wali wodą kobiety, a we wtorek i dni następne — kobiety mężczyźni. Oblewano się rozmaitym sposobem. Ci, którzy swawolę nad dystynkcję przekładali, oblewali damy wodą prostą, chlując garnkami, szklanicami lub dużymi sikawkami prosto w twarz albo od nóg do góry. Gdy się rozchylała kompania, panowie i dworzanie, panie i panny leli jedni drugim ze wszelkich naczyń, jakich dopaść mogli, a hajdacy i lokaje wody donosili...

Największą jednak frajdą było przydybać damę w łóżku — przytrzymywana przez mężczyzn w koszulce musiała pływać w powodzi. W dzień ten wstawiały więc najraniej, albo jak najmocniej zawierały sypialnie...

E — Epilog świąteczny — najczęściej kolka wątróbowa. Patrz także pod „L” — lekarz.

F — figle-migle — w czasie Świąt Wielkiejnocy dozwolone.

G — goście. Odwieczny temat dowcipów świątecznych, jak np. we fraszce autora alfabetu:

By święta szybko minęły
nieba o to proście,
bo prędzej nie odetchniecie,
nim odjadą goście...

Gość może być jednak przyimny, czego dowodzi fraszka anonimowa pt. „U kogo mi najmiej”.

Gdzie mi dobre wino dają,
Tam dnie trawie, tam nocuje;
Jak kwiat, gdzie go polewają,
Najrozkoszniej się przyjmuje...

H — tu: Ch — choinki na święta nie będzie. Będzie natomiast chrzan i wiele rzeczy potrzebnych do chrzanu...

I — indyk wielkanocny. Ten sam, który czekał do niedzieli... itd.

J — jaja wielkanocne. A oto przysłowie, szczególnie aktualne w święta:

„Lepsze dziś jajko niż jutro kokosz!” Związczą, że jutro będziemy odwracali się z niechęcią od wszelkiego J — jada...

K — kielbasa, nieodzowny rekwizyt stołu wielkanocnego. Kiedyś można ją było schwytać w locie, czego dowodzi przysłowie: „Gdzie się one czasy podziały, kiedy kielbasy po świecie latały?”

K — także ksiądz, spowiednik. Oto fraszka Rodoćia na temat spowiednika.

Raz do konfesjonatu
Przyszła niewiasta młoda;
Zbliżyła się pomatu,
Krew z mlekiem jej uroda.
W konfesjonale drzymie
Bernardyn — ojciec Łatka,
Zbudzony pyta: „Imię?”
Czy panna czy mężatka?”
„Panna” — odpowie szczerze
Gapiątko pełne tremy.
Ksiądz puknął w tabakierę
I rzekł: „To zobaczymy!”

K — także kłótnia (u pospolstwa), w sferach inteligentnych zwana — konwersacją. O konwersacji pisze Rodoć co następuje:

Ten temu rzekł: „Jesteś cię!”
A ten mu: „Barania głowa!”
Ruszyli się przyjaciele,
Gwałtu sprawa honorowa!
Pojedynki... naturalnie.
Poszli. Gdzie? Jak? O to mniejsze
Mniejsza również, kto tam palnie
Kogo w łeb i razy ńle;
To jednak rzecz szczególniejsza,
Ze obie strony, niestety,
Nie pomyślały na chwile,
Czy też owe epitety
Nie są na miejscu, broń Boże?
Ja nie wiem, ale być może.

L — lekarz, była już o nim mowa przy haśle E — epilog świąteczny, ale nie zaszkodzi powiedzieć jeszcze Dwie fraszki o lekarzach: pierwsza Ignacego Legatowicza, druga — Augustyna Kretowicza.

Patweł, lekarz bez sumienia,
Żyć przestał przeszłego lata;
Umarł jak Zbawiciel świata:
Dla naszego ocalenia.

Ach! przyjaciele, rad bym się dowiedział,
Bo trzeba wam to wiedzieć, żem ciekawy tyoszki,
Który z nich będzie głębiej w piekle siedział:
Czy ten, co proch wynalazł, czy-li ten, co proszki?

M — miara — we wszem ma być zachowana. Także — mięso, mięsiwo. Mówi o nim przysłowie, które, jak wiadomo — jest mądrością narodów: „Komu się mięso nie dostanie, ten na polewce niech przestanie!”

Bardzo polecamy szczególnie w okresie poświęconym.

M — także — myślistwo. Oto fraszka Augustyna Kretowicza pt. „Jan myśliwy”

Jakże nasz Jan uparty! nikt go nie przekona,
Polować na jelenia nie chce się ośmielić;
„W tym ma słuszość zupełną — rzecze jego żona —
Mógłby kiedy przypadkiem sam siebie zastrzelić!”

N — niestrawność. Czesty przedmiot rozmów wielkanocnych. Również przedmiot wielu utworów poetyckich, jak chociażby wiersza Wiktora Gomułckiego:

Raz rozmawiano — kto rozmawiał, mniejsza —
Która potrawa jest najniestrawniejsza.
Jeden wymienił jakąś rybę z morza,
Ów marynatę na zimno z węgorka,
Temu na pamięć przyszedł schab z kapustą,
Tamten przypomniat kaczkę nazbyt tłustą...
Wtem, mocny długą w gastronomii wprawą,
Wstanie mąż pewny i rzeknie: „Potrawą
Najniestrawniejszą, której ani upiec,
Ani usmażyć nie można, jest głupiec!”

N — także nabożność, szczególnie polecana przy niestrawności i rychłym w takim przypadku widoku na N — niebo. Oto fraszka Kazimierza Glińskiego o nabożności:

Ni w niebo, ani w piekło, ni w Boga nie wierzył,
Jednak wszystkie kościelne spełniał przykazania:
W święta krokiem poważnym do kościoła mierzyl,
Modlił się, pościł, suszył; przed dniem
Zmartwychwstania

Spowiadał się, a nawet, owianego dymem
Kadzielnic, księdza nieraz wiodł pod baldachimem.
Nabożność niedowiarka była z tych zagadek,
Jakie trudno rozwiązać. Więc razu pewnego
Zapytano go o to: „Modlisz się — dlaczego?”
Odpowiedział z powagą: „Na wszelki wypadek!”

O — obżarstwo, synonim łakomstwa, jednego z siedmiu grzechów głównych. Pozwalamy sobie przytoczyć z niejakim zażenowaniem (ze względu na pointę) „Rzecz wielkanocną” Benedykta Herta o łakomstwie:

Wždy stanąwszy u stoła, co dźwiga święcone,
rad byś trzykroć to polknął, co jest przeznaczone,
a okiem po kucharskich wodząc majstersztukach
już nie dożreż urody w gościnnych podłokach.
Z rozumu ci się kurczy, oko bielmo kryje,
nogi niby gliniane, fiolet barwi szyję...
Skoro na male proszę tak lakomyś ninie,
ubij przódziej sam w sobie starą, wielką świnię!

P — pijaństwo, „rzecz sprośna a nieprzyzwojna człowiekowi”, jak powiada mistrz Jan z Czarnolasu. Państwo pozwól na „deser” dwie fraszki:

Wespazjan Kochanowski — „Dziwna”
Bóg czeka z gliny stworzył, piszą historię,
Jakoż on nie rozmoknie, gdy ustawnie pije?

Nikodem Muśnicki — „Nabożeństwo pijańnego”

Różne ludzi natury, gdy podchmiela sobie,
Bywają nabożnymi często w onej dobie.
Mój sąsiad, gdy raz zajrzał do dzbanek wypróżniony,
„Próżność nad próżnościami!” — zawołał skruszony.

R — roboty przedświąteczne, inaczej wiosenne porządki. Panowie, lepiej ich nie wspominać, po cóż psuć sobie nastrój w okresie świąt...

S — strawa. Przysłowie mówi, że „po dobrej strawie dobra i woda w stawie”. Nie radzimy brać tego przysłowia zbyt serio, zwłaszcza gdy będziemy wracać do domu obok stawu...

S — także smaczności! A do czego? Oczywiście do szynki wielkanocnej. Chyba, że musimy obejść się

S — smakiem, kiedy ta Sz — szynka ma pociąg do wody, jak w „Strasznej balladzie wielkanocnej o zatopionej szynce” pióra Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

Stoi facet na moście
z szynką pięciokilową,
o balustradę oparł się
i smutno kiwa głową,
jesień idzie i zima,
i facet szynkę trzyma.

Ech, faciecie, faciecie,
ty przed nami nie udasz,
na nic tu eciepiecie,
jesteś guślarz lub dudarz,
znamy twe gry zabójcze,

ty romantyczny ojczu!
Bo patrzcie: Nasz obiektyw
scenę notuje taką:
ten most, woda, sztachety
i ta szynka pod pachą,
szynka, prezent od teścia,
pięć kilo i dwadzieścia.
Nagle, rany koguta!
Ach, co ty robisz, co ty?
Guślarz w żółtych półbutach
szynkę wrzuca do wody,
nawet rybitwy kwilą:
Szynka przeszło pięć kilo.

Cóż za głupi pataloch
tych przysłów tworzy kosze!
U rzeźnika wisiąca,
a zatoneła, proszę;
zatoneła, po krzyku.
Guślarz stoi i płacze.
A księżyc na młodziku
i puhać puhać;
no bo ktoś musi puhać.

Ś — święcone. Julian Ejsmond tak o nim rzecze:

Człowiek najbardziej smutny czoło ma bez chmurki,
Kiedy go święconego urzekną powaby:
Staje się muzykalnym — i lubi mazurki,
Staje się romantycznym — i zerka na baby.

T — teatr. Coraz rzadsza, niestety, forma urozmaicania sobie menu świątecznego. Dla tych, którzy nią nie pogardzą, przytaczamy fragment utworu pt. „Jak zachowywać się w teatrze”:

„Jeść w teatrze należy, jednak nie wypada
tłuc skorupki od jajek na głowie sąsiada;
bardziej w tonie jest wybrać w sali trzy łysinki —
i rzucać w nie dla żartu pestki z mandarynki!”

U — uf, westchnienie, jakie wyrwie się z naszej piersi pod koniec drugiego dnia świątecznego.

W — wesele, uroczystość rodzinna często związana ze świętami. Synonim ślubu, więzów małżeńskich.

W — także wolność. Przysłowie mówi: „Droższa jest wolność niż złote dostatki!”

Z — zajaczki, figurują w tytule naszego alfabetu, a także w wierszu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Ostrzeżenie przed czekoladowymi zajaczkami”.

Otóż: Jakkolwiek nie chcę droga
pchać w sprzychy wiosennemu świętu,
to jednak problem tak mię uciąża,
że milczeć byłoby horrendum;

chwilka uwagi: Łódź, Warszawa,
Kraków i Szczecin, każda strona
ma swoje sprawy, ale sprawa
zajaczek jest nie zatławiona.

Więc proszę: registr, na ciotkę moją!
dokładny, jak zajaczki broją:

Pewnej poetce w wiosce N.
tupiąc nogami, ploszyły sen;
w śląskim miasteczku Złotopłoty
opowiadały anegdoty:

tnny zajaczek (wiek: dwa lata)
polknął ogon swojego brata,
bo uwierzył w homeopatę:
CZEKOLADA, LECZ CZEKOLALĘ.

Nie mówiąc o skandalu nic, nic,
jak trzy zajaczki weszły w prysznic,
a pod prysznicem stała poetka
zrazu blondynka, nagle brunetka;

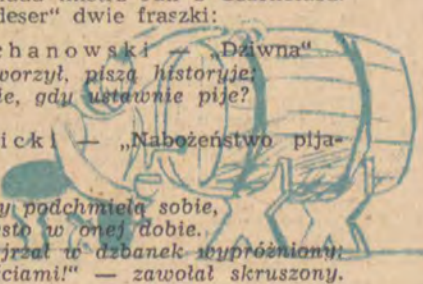
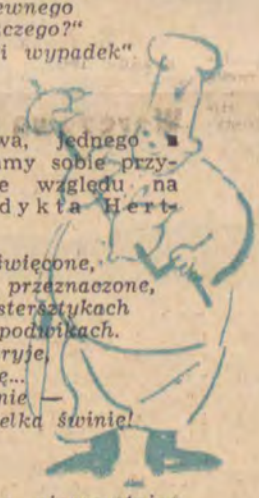
bo się zajaczki rozpuściły,
gorąca woda, rozumiecie,
a mąż już nie miał więcej siły
i się rozpuścił w innym sensie.
Dalsze przykłady? Dwie szuflady
o grozie figłów z czekolady:

Postuchaj: bo to szczyt wszystkiego,
ten jeden przykład starczy chyba:
Na mej ulicy niedaleko
mieszkał stolarz Antoni Ryba,
na oknie pachniał hiacynt w pączkach,
a dzieci krzyczą: — Kup zajaczka! —

Więc Ryba żonie dał po głowie,
dzieci uściśnął, załkał prawie
i tak powiada: — Potomkowie,
zaraz z zajaczkiem ty się zjawie,
hiacynt podlejcie, by mógł rósć,
a uważajcie, że na proggu jest gwóźdź,
wyjmę, jak wrócę. I jak poszedł,
zniknął wśród miejskiej panoramy.
Raz w Milanówku listonosze
widzieli go u pewnej damy,
księża twierdzili, że w Wieliczce
oparł swe życie na zaliczce.

Kiedy piszemy niniejsze słowa,
jeszcze czeka na Rybę Rybowa,
jeszcze czekają dzieci Ryby
na tego zajaczka, patrząc przez szyby;
kanarek uciekł i stanął zegar,
i luft się popsuł z pteca dymi:
to przez zajaczka. Więc ostrzegam
przed zajaczkami czekoladowymi.

Ż — ostatnie hasło naszego świątecznego alfabetu. Życzymy państwu dobrego wypoczynku po świętach!





leśniczówce. Zaprzyjaźnił się z samotnym strzelcem. Wieczory spędzali razem. Raz dla żartu nadleśniczy poczęstował Kubę kieliszkiem wódki. Od tego kieliszka się zaczęło. Popijali coraz częściej Kuba był dobrym kompanem. Gdy miał dosyć, kładł się na leżących na podłodze skórkach dzików i zasypiał do rana. Do śniadania wypijał pół szklanki wódki i razem z nadleśniczym szedł na obchód lasu.

Był znany. Sławę jego roznosili po Polsce leśnicy z Warszawy i innych miast bawiący u samotnego strzelca. Kuba brał udział w biesiadach myśliwskich. Krążył wśród gości i pił razem z nimi. Zainteresował się nim minister Dąb-Kociol. — Kuba musi zmienić towarzystwo — postanowił. Samotnik nadleśniczy przywiózł go do Spaly.

— Panie Leszczyński — powiedział leśniczemu do spraw łowieckich — niech pan dba o mego przyjaciela. To był mój jedyny przyjaciel.

Samotnik — nadleśniczy dwa dni żegnał się z Kubą. W chwili rozstania rozbezczał się jak baba.

— Bądź zdrow Kuba. Przez kilka miesięcy siedział Kuba w zamknięciu. Puszczono go wreszcie na wolność. Gajowi widział go, jak przemierzał leśne ostepy śmiały, rosy i piękny. Był chluba rejonu leśnego. Raptem zaczęły przychodzić meldunki. Zalił się na Kubę wycieczkowiec, motocykliści i właściciele samochodów.

Kubę ciągnął gwar podnieconych ludzkich głosów. Pamiętał je z białostockiej leśniczówki. Wiedział jak zachowują się ludzie przy zakocz-



NIE MA LITOŚCI DLA SŁABYCH ZWIERZĄT

Feliks Leszczyński pokazywał mi wśród swoich trofeów czarnego bociana. W zasadzie nie jest to zdobycz, a znaleźisko. Czarny bocian jest unikatem w Polsce. Trzy z nich trafiły w szuflary spalskie. Dwa samców i jedna samiczka. Leszczyński obserwował je na małej wysepce. Bociany nie uznają małżeńskich trójkątów. Jeden z samców musiał ustąpić. Odepując się wokół, bociany natary na siebie. Samiczka klekotaniem zagrzewała je do walki obserwując zmagania rywali. Cios jednego był silny i trafny. Partner zachwiał się i przysiadł. Samiczka dokonała wyboru. Stała po stronie silniejszego. Mała czaszka słabszego bociana pękła pod ciętymi dziobami zbrodniczych kochanków.

Podobnie dzieje się zresztą u innych gatunków ptactwa. Słowicza bogdanka wybiera najpiękniej śpiewającego amanta. Bażancicha najbardziej kolorowego i wymuskane eleganta. Samica cietrzewia nie wiąże się ze słabym partnerem. Łakome miłośki kaczki namiętnym kwakaniem wabia sobie kochanków. Znajomość tych obyczajów wykorzystują myśliwi. Zaślepieni samczykowicie zamiast wrażeń obiecanych kaczym kwakaniem po drodze dostają porcję śrutu. Padają martwi obok dziwionej i przerażonej kreczuchy. Ta po chwili oszołomienia wabi znowu inne ofiary. Polowanie z kreczuchami opisał drobniogłowo w swojej książce pt. „Za rzekę, w cieniu drzew” Hemingway.

Trzymane na uwięzi, tzw. kreczuchy, giną często razem z podstępnie wabionymi samczykami.

DOLINA CIEMNYCH BAŻANTÓW

Jeszcze przed trzema laty w Spale nie było hodowlanej fermy bażantów. Zapalenie inż. Skrzyński przy pomocy wojewódzkich i centralnych władz leśnych stworzył największą tego typu hodowlę w Polsce. Coraz udoskonalona on warunki bytowania obcych skrzydlatych przybyszów. W Polsce jest ich niewiele. Ojczyzną bażantów są górzyste płaszczyzny Himalajów, Tybetu, Chiny i stepy Mongolii. Do Europy sprowadzono je w XIII wieku. Do nas trafiły czterysta lat później. Spełniają one nieocenione usługi naszym rolnikom. 70 proc. pokarmu spożywanego przez bażanty stanowią szkodniki — owady i nasiona chwastów. Np. jeden bażant w ciągu roku potrafi zjeść 50 kg szkodników, w tym znaczne ilości stonki ziemniaczanej. Nasi poludniowi sąsiedzi, Czechosłowacy, oddali bażantom w pacht swoje pola uprawne. Mając ich bardzo dużo nie stosują wcale chemicznego zwalczania szkodników — owadów polnych i chwastów. Chemików wycecają kohorty mongolskich bażantów.

Bażanciarńia inż. Skrzyński go w Spale jest prawie że pionierską placówką w Polsce. Sąd bażanty wędrują do innych ośrodków kraju, a następnie wypuszczane są na wolność.

Bażancie kokoszki żyją tu w ustalonych stadach. Znoszone przez nie jajka skrzętnie są zbierane. W normalnych warunkach noszą one od 12 do 15 jaj. Przez podbieranie ich kokoszka dla zachowania gatunku żyje intensywniej ze swoim oblubieńcem i znosi do 40 jajek. Wędrują one do tzw. włoskich inkubatorów, gdzie po 23 dniach klują się małe kurczątka. Stąd przynoszą się je do pachnących żywicy pomieszczeń, gdzie kończą wiek młodzieńczy. W bieżącym roku ma ich tu wychować się

pięć tysięcy. Przygotowuje się już poligon dla bażanciej dywizji. Podłużna dolina przykryta siatką będzie miejscem ich dalszego rozwoju. Sęk w tym, że sprawa doliny dla ciemnych bażantów rozbiła się o metalową siatkę. Nie można jej nigdzie dostać. Jest ona niezbędna, aby przykryć niebo nad bażancią doliną. Bez niej ptactwo rozleci się po świecie, a skrzydłaci drapieżnicy mieliby wygodną szpiżarnię. Eskadry jastrzębi przelatują często nad bażanciarnią. Najbardziej krwiożerczy wpadają jednak w przemyślnie skonstruowane sidła. Umieszczona w dwupiętrowej klatce kurka bażancica stanowi łakomy kąsek dla drapieżników. Jastrzębie spadają na nią, ale przy uderzeniu o siatkę, dzieląc piętra klatki i kurkę, zostają tu na zawsze. Zdarza się jednak, że przerażona kurka, która ma w sąsiedztwie zbrodni czego krewniaka, ginie. Ze strachu pęka jej małeńkie bażancie serce.

LEŚNI LUDZIE

Las jest ich domem. Z fuzją na ramieniu przemierzają leśne ścieżki. Ziemia nie ma dla nich tajemnic. Ze śladów na niej odczytują czy przeszedł zwierzę, czy nie mniej groźny kłusownik. Niekiedy lepiej spotkać dziką niż tropiącego go człowieka. Człowiek ma broń, którą łatwo może skierować przeciw strażnikowi leśnych skarbów. Jeden z leśników spalskich musiał opuścić swój rejon. Rodzina schwytanego kłusownika tropiła go w lesie. Ni stąd ni zowąd padły strzały i nad głową leśnika sypta się igliwie. Mściwa fuzja biła kulami w okna leśniczówki, którą zamieszkiwał. Zwierz nie jest tak natrętny w zemście. Mimo to dzień i noc inni strażnicy zielonego skarbcza. Znają metrykę każdego drzewa. Rosną one pod ich okiem. Bronią je przed toporem złodzieja i naturalnymi szkodnikami. Dzielni, odważni ludzie w zielonych maciejówkach.

Mój ojciec chciał, żebym był takim człowiekiem. Dlatego mówił mi, gdy byłem jeszcze pędrakiem.

— Bohuszu, ja ciebie wyuczę na leśnika. Nie spełniło się życzenie ojca, nie z jego zresztą winy. Pamiętam, jak ojciec ostatnie miesiące swojego życia chodził na wyręb pobliskiego lasu. Strzępy płuc sycił żywicz-

nym aromatem świętych sosen. Chodziłem za nim często.

— Tatunku pojdte doma — prosiłem.

Baliśmy się, że chłód lasu jeszcze mu bardziej zaszkodzi. Zatrzymywali mnie oni zawsze wiażką smolnych sęków. Wspomnienia te wróciły na spalejskiej porębie. Tak samo jak wtedy potężne sosny kłódy się ze słunionym jękiem na ziemi. Tylko drwale byli inni. W błękitnych ochronnych hełmach bardziej przypominają teraz motocyklistów niż robotników leśnych. Czterdziestometrowej wysokości maszyny stuszczały sześćdziesięcioletnich sosen cieli w pięć minut. Trójka wysmukłych żylastych mężczyzn cięła obszerny obręb lasu. Mechaniczne pily zduszonym jazgotem wpijały się w pień drzewa. Taką samą pilą obcinano gałęzie. Gdzie tu szukać porównań. Drwale ze wspomnień mieli zmięte kaszki, postrzępione portki i marynarki. Ich ręce stwardniałe od rekojści topora oblepione były szerniawą żywicą. Ci tutaj nie musieli dotykać ręką drzewa, aby je pokonać. Jedno jest tylko wspólne dla tych jak i tamtych drwali. Solidarność i tworzona potrzebą wspólnie wykonywanej pracy. Od zespołu pracujących tu ludzi zależne są wyniki roboty, zarobki i bezpieczeństwo każdego z nich. Polowe swego życia spędzają z sobą, otoczeni głuszą leśną. Surowa i mimo wszystko niebezpieczna robota w lesie przynosi tę solidarność i przyjaźń poza obręb lasu. Dlatego i przyjaźnie rodzace się tu są inne niż gdzie indziej. Las przeprowadza naturalną selekcję nie tylko wśród roślin i zwierząt. Czyni to i wśród przebywających w nim ludzi. Tworzy ich bliskimi sobie. Twardych, surowych. Jeżeli przyjmą cię do siebie, będą naprawdę zyczliwi i wierni w przyjaźni. Dlatego rozumiem samotnika — nadleśniczego z białostockiej leśniczówki. Wybrał on sobie jednego przyjaciela — Kubę. Ale był mu wierny do końca. Dlatego właśnie pod rozłożystymi rogami Kubę w pokoju myśliwskim leśniczego Leszczyńskiego ustawił on na stoliku srebrną czarke. Na ostatni toast, który się już spełnił.

Zdjęcia:

JANUSZ GŁOWACKI



BOGUSŁAW HOLUB

Ostatni toast

W

Spalskiej Głuszy

— Nie, ja nie zabiję Kubę, nie mogę — zarzekł się Michalak. Wyszedł do lasu. Wołał: „Kuba! Kuba!”.

— Jesteś Kuba, Chodź za mną. Ja cię schowam. Kuba zwiesił głowę i podążał za Michalakiem. Szli przez las. Przedzierali się przez zarośla i kępy zwalonych gałęzi. Wyszli na dróżkę. Michalak słyszał za sobą głęboki oddech Kubę. Przyspieszył kroku. W pewnej chwili poczuł, jak rzuca go coś na ziemię. Odwrócił się pod siebie, wyciągnął spod siebie flintę.

— Kuba! Nie podchodzi! — krzyknął — zabiję! Zasiępiiony napastnik zyk-

wał nowy cios. Z dwóch rur chlusnął ogień. Kuba zastął na chwilę w bezruchu, jakby zdziwiony blaskiem i zwałił się na leśną dróżkę. Z piersi tryskała krew i krzepła na igliwiu. Patrzył w niebo. Michalak ujął go za głowę.

— Chciałem cię, Kuba, ocalić. Ty tego nie chciałeś. Zabiję cię kieliszek wódki.

Kuba przyszedł do Spaly z lasów białostockich. Znalazł go tam pewien samotnik-nadleśniczy. Kuba poza leśniczym był jedyną żywą istotą w ukrytej w głębi lasu

nych wycieczkowiecach. Patrzył i czekał. Nikt go nie poczęstował. Zły za brak gościnności, atakował pijących, wypróżniał ich szklanki i butelki. Rzucił się na pojazdy i kierowców. Stał się postrachem okolicy.

Kobiety idące do kościoła przez las, zbierały się grupkami. Bały się Kubę. Kłóregoś dnia przyszedł do Spaly pod kawiarnię. Nie rozumieli go. Nikt nie podał mu kieliszka wódki. Jeden z podchmielonych śmiarków podszedł i trzasnął go w głowę. Kuba oddał mu cios tak, że śmiarek frunął w powietrzu koźła. Pijak Kuba przeszedł tym swój los. Z Ministerstwa Leśnictwa przyszedł rozkaz. Zabić. Leśniczy Feliks Leszczyński zawołał gajowego Michalaka. Pokazał mu nakaz z Ministerstwa.

— Wy wykonacie wyrok.

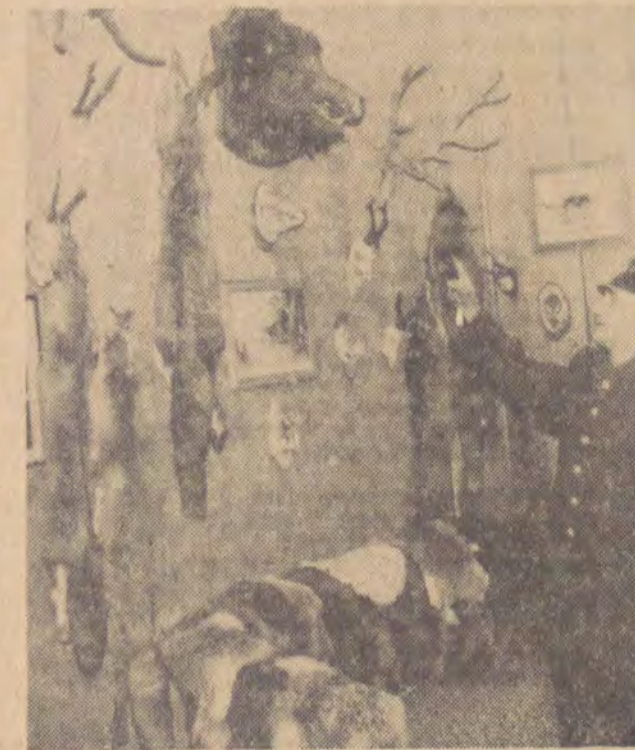
— Nie, ja tego nie zrobię — odpowiedział gajowy.

— Ja też nie mam sumienia — zwierzył się Leszczyński.

— Sprowadźcie więc Kubę do mnie. Bedzie w zamknięciu do końca swoich dni. Darujemy życie jednemu przyjacielowi naszego kolegi z białostockiej leśniczówki.

Michalak wziął z sobą do lasu flintę i ćwiartkę wódki. Poszedł na spotkanie Kubę. Znalazł go. Dał mu powąchać butelkę. Kuba szedł za nim posłusznie. W pewnej chwili nie wytrzymał. Postanowił zdobyć wódkę siłą. Dwie kule z fuzji Michalaka spełniły ostatni toast w spalskiej głuszy.

Rozłożył piękne rogi Kubę wiszą dziś na ścianie w pokoju myśliwskim Feliksa Leszczyńskiego. Pod nimi na stoliku stoi mała srebrna czarke. Postawił ją tu nadleśniczy z białostockiej leśniczówki.



NAL i DAMAYANTI

Tak się jakoś dzieje, że nikt z Kolegów Recenzentów nie kwapi się do systematycznego pisanie o uroczym teatrze lalek. Dlaczego, nie wiem. Jeśli ten stan rzeczy wynika z niedoceniania wychowawczej i artystycznej rangi tej sceny, to chyba niedobrze o nas świadczy. Dość przypomnieć sobie, iż od siły nawyku teatralnego tysiący milusińskich zależy przyszłość naszego teatru. Argument, że nie warto o tym pisać, bo stały odbiorca nie nauczył się jeszcze czytać, również nie da się utrzymać. Odrzucam podobne przypuszczenia. Jestem raczej skłonny sądzić, że nie brakuje dobrej woli, a głucho milczenie wokół tych

jawi się nam tylko w czułym wspomnieniu, odnaleźliśmy właśnie tutaj, w teatrze lalek.

Gdy myślę o zrutyinizowaniu doznań, przypominam sobie monstrialny iluzjonizm, jakim stale nas karmi w teatrze dorosłych. Przyzwyczajanie do obserwacji tzw. życia, do liczenia się z faktami, które zawsze można sprawdzić, zawęża coraz skuteczniej wyobraźnię współczesnego człowieka, wiedza niszczy wiarę w to, co nierealne, a przecież sztuka żąda wiary, potrzebuje fantazji i rzeczywistości z teatru lalek. Tutaj mamy iluzję, nawet totalną iluzję, ale nie jest ona bynajmniej redukcją wyobraźni jak w tamtym teatrze. Jest natomiast przykrawaniem i oceaną świata na miarę urzekających marzeń i przedstawień dzieciństwa. Owo złudzenie porywa poezją, jak wszystko, co ostrzy i poszerza wrażliwość.

To, co Henryk Ryl z piętyzmem, zrecznoscia i ogromnym nakładem pracy wykreślił i skonstruował w swym, samoistnym dziele ze wspaniałej epopei indyjskiej, można traktować jako opowieść o szaleństwie miłości. Ten wieczny wątek ma i tu swój budujący morał, tyleż prawdziwy co naiwny: szczęście zdobywają ludzie mocni i szlachetni. Mam jednak wrażenie, że niezwykłość tej inscenizacji nie tkwi w jej tematyce i Ryl, jakkolwiek pokazał wszystkie piękności i uroki legendy, dokonał czegoś znacznie ważniejszego. I to, moim zdaniem, akcentuje jego sukces.

Otóż potrafił przełożyć arcytrudny tekst na język swojego teatru. Z każdej sytuacji, myśli i metafory wydobyla urzekające, zmienne w barwie, ruchu i geście obrazy, układa je i harmonizuje według toku wiersza (co za szkoda, że robiony w nieznośnej manierze młodopolskiej i za mało jeszcze oczyszczony przez adaptatora), odwijając je następnie w kalejdoskopowym ciągu, punktowanym i nasyconym pysznym podkładem muzycznym (K. Pendereckiego). Miałbym tylko zastrzeżenia co do dramatycznej konstrukcji fabuły, odbija się

wyjątkowo klarowny i jednorodny styl widowiska, znakomitą współgrę wszystkich tworzyw. Raz jeszcze wzruszałem się sztuką W. Kondka (scenografia), którego osobliwa abstrakcja znalazła w tej poezji dobrą inspirację. Oddzielne słowa zachwytu niech przyjmą nie wymienieni w programie z nazwiska twórcy lalek oraz wszelakich ludków i zwierzków.

Nie wiem, jak często stosuje się w teatrze lalek chwyt prezentacji animatorów. Tutaj, ten zabieg, który w innej konwencji eliminowałby iluzję, służy jeszcze silniejszemu spotęgowaniu złudzenia. Dla mnie niezapomnianym przeżyciem był głos Teresy Sawickiej, użyczone Damayantie. To rewelacja! Sawicka pokazała kunszt wielkiej miary. Ten ciepły, czysty, wzorowo postawiony głos bezbłędnie wykreślał całą skalę doznań jej bohaterki. Brzmiał miękko, lirycznie, załamany się w rozpacz i melancholii, przemijając oddawał namietność i tragizm.

Zreszta, cóż tu pisać, to trzeba koniecznie zobaczyć.

Baśń staroindyjska z Maha-Bharaty według przekładu A. Langego adaptował Henryk Ryl, inscenizacja i reżyseria Henryk Ryl, scenografia Wacław Kondka, muzyka Krzysztof Penderecki, konsultacja dr Stanisław Michalski, Państwowy Teatr Lalek ARLEKIN w Łodzi, prapremiera.



spraw jest bodaj skutkiem naszej niekompetencji w tym zakresie. Przynajmniej stosuje to do siebie. Więc proszę nie oczekiwać ode mnie rzetelnej relacji z tego przedstawienia. Po prostu spiszę tu refleksje i wrażenia widza z siódmego rzędu.

Kiedy człowiek zasiadzie na tej widowni obok młodszych roczników, cisną się do głowy rozmaite sprawy. O mijaniu czasu i zrutyinizowaniu doznań, o uroku fantazji i o niezwykłości tej sztuki. A wszystko zawdzięczam Henrykowi Ryłowi, który w niemałym trudzie wygotował ten wspaniały spektakl dla mam i ojców. Trzeba ten koncept przyjąć dużym brawem, tym bardziej że „Arlekin” konsekwentnie prowadzi swój program jakby estetycznej rekreacji dorosłych. Najpierw o niezwykłości. To, co chciałbym właściwie krótko określić ośnieniem, nazwę teraz nieograniczoną wprost możliwością wypowiedzi, jaka ma twórcę tego teatru. Nie lada to satysfakcja korzystać z takiej swobody i nie odczuwać prawie skrępowania w przybliżaniu poetyckich urojeń.

Oto mamy tu przed oczyma świat baśni i legendy, nie mieszczący się w ramach naszej rzeczywistości i doświadczeń, oto materializacja marzenia. Co w wyobraźni jest zwiewne, nie ma kształtu, czasu i przestrzeni, rozbłyśnie tu w konkretnej postaci, barwie i dźwięku, zaczynając swą przędziwną, egzystencję, by za moment pierzchnąć jak sen. Słucham rzewnej skargi na los pięknej Damayantie, śle dę złośliwe szept złoego duszka i uświadamiam sobie, że przecież to tutaj poznaliśmy się ze smokiem wawelskim, z Królem Popielem i chochlikami — od tej pory wiemy, jak rzeczywistość wygląda. Bo to, co w późniejszym, życiu po-



to na tempie całości, np. część II jest za bardzo statyczna, chociaż zatrzymane bieg zdarzeń inscenizator rekompensuje ośniewającą... lekcją krajoznawczą (obraz puszczy). A najważniejsze: ta baśń nie zatraciła swego egzotycznego klimatu, teatr nieomylnie wyzwała nastrój dalekiej, bajkowej i tajemniczej krainy, jej rytm, koloryt, pejzaż. Podziwiałem

* * *

On sowy był jak bywa morska piana
Na piasku w czas zawieruchy.
Błękitnych kotwic dzwonił bezustannie
Na jego ręce błękitne łańcuchy.
Powiadali, że kiedyś był młody przed laty,
Lecz pamięć matki tych dni też nie sięga.
Po nocach śniły mu się ognie Kronszladtu,
Felzny dym po wiodokregu...
Drżały osiny nad sianą Msty falą
I zimą wilki wyły na pagórach...
Jedyna rzecz,
o której marzył stale,

To syn...
Lecz urodziła się óra.
Powiada mądrość ludu: serce, nie kamień —
Więc losom nie zlorzcząc,
Wielkimi tatuowanymi rękami
Kłósał mnie co wieczór.
Rankiem — karmiliśmy portowe ptaki
Na cumowisk sruwające liny...
Wszystkiego, czego uczył się chłopaki,
Wyczerzył mnie, dziewczyno:
Pływać, strzelać, na koniu uganiać,
Wiewiórką śmigać po brzeźniaku...
Tylko beczkę ojciec mi zabraniał,
Choćby, nie wiem jak, chciał się plakać:
— Nie ustrzeżesz się — tłumaczył — nieszczęście...
I przegrana nieraz się zdarzy...
Jeśli ktoś mi — mówił — dopiecze,
To mam nigdy nie puszczać płazem.
Teń nierządno nań, gdy zawadzi, zyl,
Sobaczyla
Nasza matka
Ostrożna...
Czego w życiu on sam nie zobaczył,
Wszystko to kazał mi poznać...
Z domu gnały małe góry, step głuchy,
Mórz bezmiar, w sztorm, w nawalnicę —
Gdzie w głębin błękitne łańcuchy
Zapadają —
i błękitne kotwice...

Tego roku za oknem
Złótkie trawy i brzoź gałązki —
Ojciec poczuł, że koniec trudów...
Przypaść by ustami
ku dloniom szorstkim!..
Ale pociał marudził, marudził...
Znał Msty - rzeki czajki wołały
Bezustanku, ich głos długi nie milkł
Nie zapomni skroń ogorzała
Wilgoci matki - ziemi,
A czas leci,
leci,
I nie ma drogom końca.
Ziemia, morze,
Słońce wysokie —
Odgradzają mnie od ojca.

REKRUCI

Przez most Pocalunków
Idą poborowi,
Idą bez ladu, składu,
Niedzarni, nerwowi;
Z papierosami w zębach
Grubo skręconymi,
O wargach opierzychłych,
Dawno nie gołeni.
Idą poborowi —
Do wczoraj wyrostki.
Placuszki domowe —
W kuferkach ojcowskich.
O murstze mają
Zielone pojęcie.
Ich dlonie pachną
Skwarnym sianożęciem,
Chrupka konicyzna,
Smarami, kielnią,
Ziarnem dźwięczącym —
Pracą rzetelną...
Skierują ich do łaźni,
Potem — do ratury.
Nie krzyż na nich, kapralu,
Nie trzeba wiejaż z góry.
Nauż ich wszystkich,
Na czym mają znać się,
I my rekrutami
Byliśmy w swoim czasie.
Mały
Z trudem do szynela
dorastali —
A przecież wyrosli z nas
Złnierze śmiali.
Czas nam nie żałował
Groźniejszych frasunków...
Idą poborowi
Przez most Pocalunków.



sedno rzeczy MARIAN PIECHAL

Imitacja i autentyzm

Cóż to jest ten autentyzm i coż to jest ta imitacja? Autentyzm to prawdziwość, a imitacja to sztuczność czyli pozor albo zgola udanie, a więc fałsz. Stąd nie, co autertyczność, nie jest śmieszne — śmieszna jest tylko imitacja czyli wszystko to, co podaje się za prawdziwe, a w istocie nim nie jest. Dlatego tak wielu aktorów w swym nieudolnym udawaniu sprawia śmieszne wrażenie i uchodzi na ogół za ludzi niepoważnych. Tylko niektórzy wielcy aktorzy potrafili udanie i sztuczność czyli imitację, która przecież jest zasadą gry aktorskiej, doprowadzić do takiej doskonałości i perfekcji, czyli wnieść na tak wysoką wyżynę sztuki, że przestają być śmieszni, a stają się prawdziwi czyli autentyczni. Przelamują granicę między złudą, a rzeczywistością. Mało tego podnoszą rzeczywistość do wyższej potęgi czyli do rzeczywistości skondensowanej w zwięzłą formułę sztuki. Wtedy wstrząsają nas swoją artystyczną prawdą, która jest ekstraktem prawdy życiowej, jej istota.

Ale nie o aktorach chciałbym tutaj mówić, tylko o poetach. Bo poeci, kiedy imitują rzeczywistość, zamiast mówić o niej prawdę, są bardziej śmieszni, niż aktorzy. Gdyż ostatecznie specyfika aktora jest udawanie czyli imitacja, ale specyfika poety nie jest odwarzanie ani przetwarzanie, lecz stwarzanie. Czyli stwarzanie odpowiedniego wyrazu jak najbardziej własnemu i nie powtarzalnemu przeżyciu. Własnym i niepowtarzalnemu, a więc oryginalnemu. Oto na czym polega autentyzm.

Z tak rozumianego pojęcia autentyzmu wynika spontanicznie postulat oryginalności jako zasady twórczej, ale oryginalności nie za wszelką cenę, tylko za cenę osobistego doznania i przeżycia, jako jedynego świadectwa prawdy.

W dwudziestolecie międzywojennym praktykę autenty-

zmu jako zasady twórczej w poezji usiłował spopularyzować Stanisław Czernik, wydawca i redaktor „Okolicy Poetów”, mieszkającego w latach 1935-39, a będącego głównym organem autentyzmu. Właśnie nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się monografia „Okolicy Poetów” dokonana w głównym korpusie swej zawartości przez samego jej twórcę i redaktora Stanisława Czernika, z autorytatywną naukowo przedmową Ewy Korzeniewskiej i ze źródłowym opracowaniem bibliograficznym Ewy Mendelskiej. Mimo to książka nie jest jedynie rozbudowanym kompendium dokumentacji historycznych. Jest pozycja żywa ze względu przede wszystkim

na wciągnięcie jeszcze żywością i aktualną sprawą autentyzmu w naszą literaturę, a zwłaszcza w poezję współczesnej. Szerszej popularności, na jaką autentyzm zasługiwał, stanęła na przeszkodzie — moim zdaniem — zarówno przed wojną, jak i dziś biedna o nim opinia, jakoby dotyczył on tylko pochodzenia ludowego. Nie fałszywszego pod słońcem! Z olbrzymiego materiału zawartego w tym monograficznym tomie „Okolicy Poetów”, zwłaszcza z jej pierwszej części złożonej ze „Wspomnień” Stanisława Czernika, a także z części drugiej, złożonej z wyboru artykułów o autentyzmie i wreszcie z przytoczonych odpowiedzi na ankietę „Okolicy Poetów” wcale to nie wynika. Przeciwnie, twórcą autentyzmu broni się przed takim zawężeniem jego teorii, która ma ambicję zasady ogólnej w poezji bez względu na jej rodzaj czy tematykę. Ludowość była tylko jednym z przykładów na praktykę autentyzmu, co prawda przykładem najciekawszym i najbardziej przekonującym dla autora z racji jego pochodzenia i środowiska społecznego, racją zresztą nie jedy-

Wszak ludowość była źródłem największych wlotów sztuki polskiej, jak dzieło Mickiewicza i Chopina. Dowód z ludowości miał więc ukrzepić autentyzm na wypróbowanym fundamencie tradycji i powszechności.

Wydaje mi się, że sprawa nie jest przedawniona. Trzeba by autentyzm odkłamać ze złej legendy i przywrócić mu walor aktualnego hasła. Wobec polwornych spustoszeń, jakie powoduje dzisiaj imitacja na każdym polu sztuki, a zwłaszcza w dziedzinie najmłodszej poezji, autentyzm mógłby przywrócić praktyce twórczej właściwe jej miary i drogowskazy.

Szansa autentyzmu nie jest jeszcze całkiem przegrana. Wprost przeciwnie. Ogromne powodzenie literatury wspomnieniowej, wszelkiego rodzaju dokumentacji i pamiętników świadczy o powszechnym głodzie prawdy czyli autentyzmu. Jest on reakcją na przerażenie, sztuczność i zakłamanie reklamujących się mocno rozmaitych mód i prądów nowoczesności w literaturze. Ciekawość można smakować, ale prawdziwy głód zaspokoić można tylko zwykłym chlebem.

WARSZAWA MŁODYCH

Dokończenie ze str. 4

mienny dla Warszawy, zarówno w sensie kulturalnym, gospodarczym jak i politycznym. Aniela Kowalska wykazuje na materiale zaczerpniętym z mało znanych pism i pamiętników tego okresu, że Warszawa była ośrodkiem życia kulturalnego, że tam skupiały się i krzyżowały wszelkie prądy i impulsy epoki. Zadaje sobie pytanie, czy Wilno, jakkolwiek wydawało najgłośniejszego poete — „prowincja” Międzywojnia nie jest trochę przesopieczowane przez legendę literacką kosztem Warszawy. Autorka udowadnia, że walka o pierwszeństwo na polu kulturalnym dwóch miast istniała. Rywalizacja dwóch „sina mater” była dość silna. Warszawa miała czasopismo „Świśtek krytyczny” — Wilno „Wiadomości Brufowe” jako organ wzajemnych polemik. Wilnianie nie znali Warszawy i nie potrafili jej zrozumieć. Znalaj ją tylko od strony salonu pseudoklasyków, złośliwie wysmiewających pierwsze poczynania Mickiewicza. Zresztą tematyka prasy, po większej części redagowanej przez młodzież by-

ła bardzo ograniczona. Cenzura carska tłumła każdą śmiałą myśl. Zgnięcie i zlikwidowanie zostały w zarodku polityczne stowarzyszenia młodzieży warszawskiej, jak „Partia Kojna” i „Burszowie”. Wiadomość o nich słabo docierała do wileńskich Filomatów i Filaretów. Jednakże prawdziwe oblicze Warszawy



nie było obec Mickiewiczowi, skoro syntezę społeczeństwa polskiego pokazał właśnie na przykładzie salonu warszawskiego (w III cz. Dziadów) Nasilenie walki tłumicznej bezwzględnie i konsekwentnie można było poznać po ilości odcia. Tym niemniej dwa walczące, każde na swoją rękę

ośrodki kulturalne nie zmogły się. Spór ich ograniczał się więc tylko do docieków o partych na tle patriotyzmu lokalnego.

Warszawa okresu 1815-1822 była Warszawą młodych. Oni to walczyli o czystość i polskość języka, oni pierwsi zapoznawali społeczeństwo warszawskie z osiągnięciami niemieckiej i angielskiej literatury romantycznej, oni byli fermentem, który spowodował wybuch w 1830 r.

Aniela Kowalska bardzo przekonująco wyświeśla obraz tej znaczącej epoki. Sumiennie wykorzystuje mało znane do tej pory źródła historyczne. Rzeza godną podkreślenia jest język tej monografii. Książka naprawdę jest przystępna i ciekawa.

MARIA KACZOROWSKA

PIW 1961, Biblioteka Syrenki, s. 370. W tym samym wydawnictwie ukazała się w r. 1958 również pasjonująca książka A. Kowalskiej „Morus Ałojzego Żółkowskiego”.

odtosi str. 7

MOPEDEM

— do pracy
— do szkoły
— na wycieczkę

Mopedy „ŻAK”, „RYŚ”, „KOMAR”
poleca „MOTOZBYT”

informacje i zaczepki

W ogólnopolskim radiowym plebiscycie na wiersz miesiąca pierwsze miejsce otrzymał utwór Jana Huszczy pt. „Pijaństwo”.

W pierwszym kwartale br. rodzina oszczędzających powiększyła się w Łodzi i województwie o około 30 tys. osób, co spowodowało wzrost oszczędności o ponad 120 milionów złotych.

Już w maju Łódzka Stacja Krowiodawstwa przeprowadziła się do nowego gmachu przy ul. Franciszkańskiej. Jak twierdzą fachowcy, z chwilą przeprowadzki Stacja nasza stanie się najnowocześniejszym tego typu ośrodkiem w kraju.

Dostało się w „Nowej Kulturze” Łódzkiemu „Wesołemu Autobusowi”. Łódzka prasa próbowała bronić tej popularnej audycji zupełnie zresztą słusznie. „Autobus”, jakkolwiek nie



reprezentuje numeru najwyższej klasy, jest audycją bardzo potrzebną i jeszcze latami rzesze swoich zwolenników liczyć będzie w setki tysięcy.

Ostatnio nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Łodzi. Nowym szefem został dotychczasowy wicekierownik mgr Edmund Przędzicki.

J. W.

EWA OSTROWSKA

Anegdotycznym sprawdzianem poziomu wykształcenia była ongi znajomość dzieł wiewi i Apollina. Dzisiaj przede wszystkim poznaje się jego X i XI muze, niekoniecznie kojarząc je sobie z mitologią. Może to i źle, a może i dobrze — ostatecznie Apollo nie musi się obrażać za faworyzację jego najmłodszych wychowanków: Filmu i Telewizji, załamujących wysłuchane Terpsychory, Uranie, Polihymnie. Gorzej się dzieje, gdy kandydaci na studia humanistyczne z zimną krwią myślą Eurypidesa z Demostenesem, Ajschylosa z Sofoklesem.

Już od ładnych kilku lat trwa konsekwentne usuwanie języka łacińskiego z programu nauczania w szkolenictwie ogólnokształcącym. W Łodzi łacinę wyklada się w 27 szkołach, lecz nie we wszystkich poczynając od klas ósmych. Negatywny stosunek do języka łacińskiego wynika z traktowania go jako obumierającego śmiecia naturalną z powodu małej przydatności i zasięgu oddziaływania. Języki nowożytne — bezspornie konieczny składnik ogólnego wykształcenia — wzięły górę nad łaciną, której martwe słownictwo nie podlega od tysięcy lat wpływowi czasu.

Ale negowanie użyteczności języka łacińskiego koliduje z samym teoretycznym założeniem współczesnego wykształcenia, pozostaje w sprzeczności także z praktycznym. Język łaciński na wielu wydziałach wyższych uczelni jest potrzebny, na niektórych — i to licznych: na przykład wszelkich filologii, kierunkach historycznych — wręcz konieczny.

Historia i kultura państwa polskiego bazuje głównie na źródłach łacińskich,

bo wiadomo, że wyrosła z cywilizacji grecko-rzymskiej. Nieznajomość łaciny odpowiadałaby tutaj przysłowiowemu żołnierzowi bez karabinu. Lektoraty? Lektoraty na wyższej uczelni, przecież nie służą nauczaniu od podstaw, lecz ugruntowywaniu i rozszerzaniu znajomości danego języka.

Z wielkim nakładem kosztów konserwuje się i restauruje zabytki, prasa donosi o coraz to nowych, rewelacyjnych odkryciach archeologicznych, dla uczczenia Millennium Ford na-

wyrzuca. Elitarna, bo przeznaczona do odbioru określonej widowni, wystawiana niedawno w Teatrze Nowym „Obrona Sokratesa”, szła z wielkim powodzeniem i przy pełnych kompletach widzów, zaprzeczając założonej a priori ekskluzywności tematu. W Warszawie odbyła się premiera „Medei” Eurypidesa w tłumaczeniu i adaptacji Stanisława Dygata. Projektuje się w najbliższym czasie wystawienie „Medei” Parandowskiego. Zachodzi więc pewna wyraźna anomalia pomiędzy teoretycznymi po-

stawianiami a praktycznym zapotrzebowaniem. Zresztą, chociaż aktualna moda lansuje sylwetkę kobiety plaskiej i bez bioder, czy ktoś zgłasza sprzeciw wobec sylwetki Wenus z Milo?

Lecz żarty na bok. Język łaciński z Lewnością nie jest przydatny inżynierom, matematykom, konstruktorom reaktorów. Co jednak z humanistami? Co z lekarzami? Co z archeologami, prawnikami, historykami kultury? Projekt reformy szkolnictwa ogólnokształcącego przewiduje podział liceów na dwa zasadnicze typy: matematyczno-przyrodniczy i humanistyczny, z łaciną jako przedmiotem nadobowiązkowym w liceach humanistycznych, co formalnie i urzędowo stawia kropkę przy kompetencjach języka łacińskiego, ograniczając je do minimum. W związku z powyższym projektem Kola Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Filologicznego przy Uniwersytecie Łódzkim oraz Sekcja Języka Łacińskiego

ulatwia zrozumienie literatury ojczystej i jej powiązań z literaturą europejską. W szeregu szkół odbyły się konferencje Rad Pedagogicznych, na których wielu nauczycieli, zwłaszcza polonistów i historyków, podkreślało konieczność utrzymania łaciny w szkole średniej, ze względu na potrzeby ich przedmiotów.

Odłożenie poznania łaciny do okresu studiów wyższych grozi tym, że ogół studentów będzie posiadał jedynie bardzo powierzchowną znajomość łaciny, gdyż zakres lektoratów jest znacznie węższy, przy tym student nie ma już na tym etapie czasu na naukę tak wielu języków.

Język łaciński winien być przedmiotem obowiązkowym w liceach humanistycznych... (—) ... Pogląd taki wyraża również wybitny anglista dr A. Prejbisz ... (—) ... W pozostawieniu wyboru języka uczniowi tkwi założenie elitarności nauki tego języka ... (—) ... W dodatku uczeń,

podpisali się najwybitniejsi: dr Stanisław Lipko (dyrektor Okręgowego Ośrodka Metodycznego), mgr Tamara Simla (kierownik Sekcji Języka Łacińskiego), mgr Zofia Kalinowska (Przewodnicząca Tow. Filolog.). Natomiast studenci kierunków humanistycznych, którym szkoła średnia nie dała podstaw, klną łacinę w żywy kamień. Nie dlatego, że język „pody”, ale dlatego, że mają poważne trudności w jego przyswajaniu.

A laicy publiczności dumają w skrytości ducha: czy rzeczywiście emerytura dla łaciny?

Czy emerytura dla łaciny

krećli kolorowy supergigant, „cały naród buduje szkoły Tysiąclecia” — ba! nawet mizerny budynek w Łodzi przy ulicy Zgierskiej szczył się swoim zabytkowym pochodzeniem aż... z końca XIX wieku, i — jednocześnie — mówi się o łacinie, że powinna ustąpić z programu nauczania ogólnokształcącego. Bo to zbytek i luksus.

Tak jak w sztuce rozgraniczenie według kryterium na „nienowoczesną-nowoczesną” wydaje się tworem sztucznym, gdyż kwalifikujący podział odbywa się przede wszystkim w myśl alternatywy — „sztuka: dobra czy zła?”, tak chyba odpowiednio należy modelować wykształcenie współczesnego człowieka. Zapotrzebowanie na antypowieść zresztą bardzo wątpliwe, nie ustępuje przecież w niczym zapotrzebowaniu na klasycę, a współcześnie tworzący pisarze chętnie sięgają do wzorów antycznych, czego im się bynajmniej nie

domości, przepraszam za wyrażenie, ilu jest ludzi na świecie lub postaci na scenie. Pirandello głosi więc starą jak świat tezę. Potrafił on ją jednak przeprowadzić środkami scenicznymi i jak na lata dwudzieste — bardzo awangardowymi. Fakt, iż był nosicielem starej, arcyreakcyjnej filozofii, nie przeszkodził mu stać się w pięćdziesiątym roku życia wielkim dramaturgiem.

Po ukazaniu się „Sześciu Postaci” na scenach europejskich znawcy zarejestrowali możliwość dwóch interpretacji reżyserskich. Jedną przyjmuje, iż pirandellowskie Postacie — to autentyczni ludzie, szukający u poety — stwórcy ludzkich losów — dróg wyjścia ze swoich tarapatów. Druga koncepcja zakłada, że całą szóstkę reżyser winien potraktować jako fantasmagorie, w samym założeniu nierealną lub tylko tak realną, jak traktat o nierealności prawdy w życiu i teatrze.

Z tych dwóch możliwości zwyciężyła w pirandologii (taka dziedzina wiedzy o teatrze naprawdę istnieje) koncepcja druga.

Czy również w inscenizacji, którą prezentuje Teatr im. Jaracza w Łodzi? Trzeba koniecznie pójść i zobaczyć, ale nie trzeba brać reżyserowi za złe, że pozwolił aktorom na pokaz naturalistycznej wivisekcji. Zarówno Maria Kozierska (matka),

Jadwiga Siennicka (pasierbica), Henryk Józwiak (syn) i Jerzy Balbuza (w niemieckiej roli chłopczyka) osiągnęli właśnie w tym stylu wielkie efekty. Nie można im wziąć za złe tego stylu gry, albowiem jedna ze sprzeczności pirandellowskich polega na tym, że dla osiągnięcia swego celu — wykazania niemożliwości poznania prawdy o człowieku — autor posługuje się konwencjonalnymi postaciami. Jest tu i prosta kobieta, unieszczęśliwiona przez skomplikowanego męża, jest i na sposób ibsenowski upiorny syn, nie brakuje właścicielki lupanaru — postaci odziedziczonej po naturalizmie. Ale Pirandello posługuje się tymi typami w sposób rewolucjonizujący scenę, którą zastał.

Teatr Jaracza w Łodzi przypomniał nam o tym w pracowni i dlatego podziękowania godny sposób. Nam? A któż to my?

Ci, których interesuje historia nowoczesnego teatru. Skarż mnie Bóg, jeśli jestem pesymistą.

Luigi Pirandello: „Sześć postaci scenicznych” w poszukiwaniu autora”. Przekład Zofii Jachimeckiej. Premiera: 31 marca 1962. Reżyseria Maria Wiercińska. Scenografia Józef Rachwałski.

Piszemy o tym nie tylko z okazji skromnego jubileuszu, piszemy o tym również dlatego, że wiele jest jeszcze niezrozumienia dla spraw i problemów niewidomych. A przecież ci ludzie, których otacza wieczny mrok, tkwią aktywnie w nurcie współczesnego życia.

I o tym należy pamiętać.

J. W.

„POCHODNIA”

Ludzie, o których będzie poniżej mowa, nie przeczytają sami tych słów. Ludzie ci żyją w świecie, w którym nie ma barw i kształtów. W tym świecie są tylko dźwięki i dotyk. Mowa o niewidomych.

Niedawno minęła cicho i bez echa skromna rocznica. Czasopismo Polskiego Związku Niewidomych „Pochodnia” wydało swój dwusetny numer. „Pochodnia” brajłowska — pismo czytańca, gdzie słowa wyrażone są za pomocą odpowiednich zestawów punktów — odgrywa w życiu niewidomych rolę o wiele większą niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić.

Nieorientowanym czytelnikom przypomnijmy kim był Ludwik Braille. Otóż był to ocemniały pedagog francuski żyjący w latach 1809—1852, twórca systemu pisma dla niewidomych. Mała Encyklopedia Powszechna tak pisze o systemie brajłowskim: „System znaków odczytywanych dotykiem, oparty na sześciu wypukłych punktach; układ wyróżnionych punktów odpowiada poszczególnym literom, liczbom i znakom muzycznym”.

Czasopismo „Pochodnia” powstało po wojnie w Gdańsku w roku 1948. Istnieje zatem już prawie czterdzieści lat. W ciągu tego czasu nawiązano wiele cennych kontaktów z zagranicznymi czasopismami podobnego typu. Tak np. „Pochodnia” łączy bardzo bliską współpracę z analogicznym czasopismem w Pradze. Redakcja dokonują wymiany informacji i artykułów. W roku ubiegłym np. „Pochodnia” wydała cały numer „czeski” a czeska „Zora” z kolei numer „polski”.

Piszemy o tym nie tylko z okazji skromnego jubileuszu, piszemy o tym również dlatego, że wiele jest jeszcze niezrozumienia dla spraw i problemów niewidomych. A przecież ci ludzie, których otacza wieczny mrok, tkwią aktywnie w nurcie współczesnego życia.

I o tym należy pamiętać.

J. W.

LEOPOLD BECK

Łódzki Pirandello



Maria Kozierska w roli matki
Fot. G. Puciato

Niedawno odbyła się dyskusja o repertuarze teatrów łódzkich. Jeden z dyskutantów, przedstawiciel stołecznej krytyki, ubolewał nad tym, że repertuar łódzki stroni od nowoczesnej dramaturgii. W dwa tygodnie później Teatr im. Jaracza wystawił słynną sztukę „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora”. Jej autorem jest Luigi Pirandello (1876—1936) — jeden z ojców Kościoła Nowoczesności.

Nowoczesność ta wybuchła z niepojętą siłą w latach po pierwszej wojnie światowej. Dziś znacznie łabsze eksplozje niż pirandellowska, robią o wiele większy huk.

Pomysł sztuki pt. „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora” jest i dzisiaj jeszcze wyjątkowy. Nawiąssem mówiąc pomysł ten spełnia jeden z głównych wymogów, jaki stawiają młodzi ludzie przystępujący do konsumpcji nowoczesności, mianowicie czyni zadość zamówieniu na udziwnienie. Ale u autora tej miary co Pirandello udziwnianie jest tylko zjawiskiem pochodnym. Wypływa ono z

poglądu autora na świat i ludzi, nie będąc, jak u niektórych jego epigonów, zasłona dymna.

Mniejsza zresztą o to, wróćmy do „Sześciu Postaci”. Jesteś, czytelniku, dyrektorem teatru. Kierujesz próbą jakiejś nowej sztuki. A tu, nie wiadomo skąd, zjawiają się Oni. Razem jest ich pół tuzina. Przybysze domagają się, by zagrano ich życie na scenie. Oświadczają, że są postaciami scenicznymi. Ale żaden autor o nich jeszcze nie napisał, mimo usilnych prób. Wobec braku autora sam dyrektor teatru zgadza się na napisanie tej sztuki — metodą stenograficznej dokumentacji tego, co się dzieje na scenie. A tam owe postacie grają swoje dotychczasowe życie.

Z miejsca powstają nieporozumienia co do oceny, jakimi są naprawdę te postacie sceniczne, które dzieli i łączy nienawiść. Klóca się one między sobą, klóca się z dyrektorem teatru oraz aktorami, którzy mają w przyszłości odtwarzać ich losy. W tym drugim przypadku chodzi o to, że każda z osób dramatu prowadząca dialog uważa, iż jej obraz w sztuce jest wypaczony i fałszywy. Absolutna niemożność porozumienia się tych wszystkich ludzi między sobą wypływa z założenia Pirandello, że nie ma obiektywnej prawdy o człowieku, że jedyną prawdą o nim, a zatem i o życiu, jest zmieniająca się ciągle gra pozorów. Każda z postaci scenicznych, poszukujących autora, głosi inną prawdę o sobie i innych, unicestwiając prawdę partnerów, tak że rzeczywistość staje się zbiorem pozorów, a zatem obiektywnie nie istnieje. Gra życia i teatru jest wspólną tytu solipsystycznych świa-

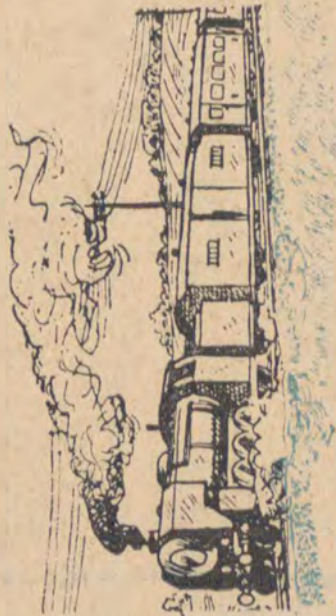


Jadwiga Siennicka (pasierbica)
Fot. G. Puciato

str. 8 **odgłosy**

IN THE TRAIN

A passenger to a lady:
 — Have you any family, madam?
 — Yes, sir. One son.
 — Indeed, does he smoke?
 — No, he does not.
 — So much the better. Does he belong to a club?
 — Oh, no! He does not.
 — Then I congratulate you. Your son must be a very good young man. How old is he?
 — Four months today.



TADEUSZ PAPIER



MAGDALENA

Siedemnastoletnia dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpływów grupki „złotej młodości”. Za namową Boruty Magda opuszcza rodziców. Po wielu próbach Magda składa przysięgę na wierność grupie. Tymczasem matka próbuje odzyskać córkę.

„Ja cię też nie namawiam. Rozmawiałam kiedyś z Tatą o tobie. Nie był pijany. Rzadko kiedy nie jest pijany. Bardzo się tobą interesował. Powiedział mi: „Ta twoja Magda nie powinna wrócić do domu”. „O, widzisz! — zawołałam — Tęto jest jednak mądry”. „O tak!” — potwierdziła Mariola — Tęto jest naprawdę mądry. Czasami nawet myślę, czy on nie wie o naszych kradzieżach. Tak dziwnie na mnie patrzy”. „Ei — wzruszyłam ramionami. — Co ci, po głowie chodzi?” „To nic, głupstwo. Otóż ten mądry Tęto powiedział: Magda chyba nie wróci do domu. A jeśli wróci, to znowu ucieknie. Pewien jestem natomiast, że trafi do ciupy. Trafiłaby ptaszyna do ciupy, trafiłaby”

„Dureń! — krzyknęłam ze złością — Białe myśli! roją mi się w głowie”. „Tak — zgodziła się Mariola. — Otóż twoja matka chce się z tobą zobaczyć. Umówiłam się z nią. Przyrzekłam, że przyjdiesz”. „Nie! — zaczęłam krzyżeć. — Nie przyjdę! Nigdzie nie pójdę. Nie będę z nią rozmawiać”. „Prosiła mnie, więc jej powiedziałam, że cię przyprowadzę. Umówiliśmy się u Taty”. „Nie pójdę do tego starego durnia. Nigdzie nie pójdę. Wolalabym — mówiłam dalej — żebyś po prostu zapomniała o mojej matce. Postaram się sama poradzić sobie z tym wszystkim”. „Doskonale! Tak właśnie powinnaś mówić. Ale nie tylko ze mną. Także z Borutą, który teraz leży z Krychą. Z Długim również. I w ogóle z całą tą bandą!” „Och, Mariola! Nie mów tak!” — zawołałam: — „Nie mogę tego słuchać. Nie potrafię. Po prostu, nie jestem w sosie. Mam za sobą ciężki dzień. Od rana żyję nerwami. Nie gniewaj się, dajmy temu wszystkiemu spokój. Nie gniewasz się?” „Czułam się rzeczywiście zgnębiona, przynięcioną tym wszy-

stkim, co mnie dzisiaj spotkało. Niech pan sobie pomyśli: spotkanie z Albinem, potem z żoną Długiego, pozowanie, i ta wyprawa w teren, jak powiedział Długi, uwieczona rabunkiem kiosku oraz przysięgą. Trzeba mieć żelazne nerwy, żeby to wszystko przetrzymać. A do tego jeszcze wiadomości o matce. Ta historia była przyniębiająca.

Mariola zbliżyła się do mnie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. W rękę trzymała kartkę papieru zapisaną prostym, dziecięcym charakterem. „Prze czytaj!” — powiedziała. „O co chodzi?” — zapytałam. Cóż to jest?” „Zobacz”. Więc zaczęłam czytać. Pismo roilo się od błędów. „Proszę, niech jego stąd zabrają. Ze wszystkimi się kluczi łyżkę złamał drewnianą od krochmalu każe nam na palcach chodzić dźwi każe ps cichu zamykać śmieć się nie każe ani bawić powiedział jeszcze że Mamusie zniszczy i że głowę urznie. Jak pniemy to ryczy milczel! Jak przyszły mnie odwiedzić koleżanki! to awanturę zrobił że się kręca... Teraz stałe na nas ryczy. Mame stałe bije na Mamusie wziął noża chciał

zabić na podwórzu...” „Cóż to jest, u Boga Ojca?” — zapytałam. „To ja pisałam — jak miałam siedem lat — odparła Mariola — Nie mam już ojca, ale wiesz, czasami chciałabym go wskrzesić”. „Mariola, ach, Mariola!” — zawołałam. Odruchowo ją pocałowałam, taka byłaam przejęta.

Obudziliśmy się wcześnie. Nie wracaliśmy już do wczorajszego tematu. Mariola postanowiła, że pojedziemy do Taty. Wyszliśmy po śniadaniu. Dzień był słoneczny, przypominał wiosnę, chociaż zbliżał się koniec października. Słońce i orzeźwiający powietrze rozwijały nasze wczorajsze troski. Cieszyło nas wszystko: i ludzie, i domy, i miasto. „Jak tu jest ładnie!” — powiedziała Mariola. Rzeczywiście, dwadzieścia czy też trzydzieści

minut pieszo do Piotrkowskiej i zupełnie inny świat, ani śladu zakopconej Łodzi, wznoszą się kolorowe domy Żebardzia, tu i tam tkwią w ogródkach drewniane domki, chciałoby się w nich mieszkać. „Cudownie tu jest!” — wykrzykiwała co krok Mariola. Kiedy żeśmy tak szły i paplały o niczym, zastąpiła mi drogę jakaś dziewczyna w szkolnym mundurku. „Magda, to ty?” To była Iśka M., o której już wspominałam, moja koleżanka ze szkoły. Naprawdę, to była Iśka. Stała przede mną i gapiła się na mnie z wybaluszonymi oczami. „Iśka, kretyńko, sie masz!” — zawołałam i rzuciłam się jej na szyję. „Naprawdę, to ty Magda? Nie mogę uwierzyć. Co się z tobą dzieje? Ależ ty wyglądasz! Niechby cię zo-

baczył dyćcio. Boże święty! Ufarbowałaś włosy? Nie, fajna jeste! Nie do wiary! Co za bakal! Boże święty!” Widać było, że jej zaimponowałam. Przedstawiłam jej Mariolę, jako swoją przyjaciółkę. Iśka nie mogła się opamiętać. Odkrywała we mnie coraz to nowy szczegół, godny okrzyku: „Och! Ach!” Fajna ta Iśka. Aż mi łzy stanęły w oczach, tak się rozczuliłam. O mało co, a poczytałabym się. Jaka ona była śmieszna przy nas. Ten jej fartuch szkolny, wytarty na lokciach, i ten czerwony numerki szkoły, i ta łeczka. Boże kochany, co za spotkanie! „Jak to cudownie, że wybrałam się tą drogą — powiedziała. — Umówiłam się z Karolą na węgry. Wiesz, dzisiaj mamy klasówkę z chemii. Ależ chemia będzie się wściekać. Co słyszał u ciebie? Jak to cudownie, że spotkaliśmy się”. Byłam wzruszona, zachwycona, dumna. W oczach Iśki widziałam nieklamany podziw. Patrzyła na mnie jak na obraz. „U mnie wszystko dobrze — odparłam. — Zerwałam ze starymi. Nie chcę im siedzieć na karku. Pracuję w domu mody jako modelka — paplałam bez zająknięcia. — Płacę dobrze, około tysiąca sześciuset na rękę. Zapisalam się na wieczorówkę”. „To cudownie! Ależ dziewczęta będą się dziwić. Wiesz, widziałam cię kiedyś na Piotrkowskiej. Szłaś pod rękę z takim wysokim



Dalszy ciąg na str. 10

odgłosy str. 9

A HOLIDAY

Mary's sister Dolly worked on a farm. One day her mistress gave her a pail of milk and said to her:
 — Dolly, you can have a holiday today. Here is a pail of milk for you.
 — Thank you, — said Dolly.
 — She was very glad to have a holiday. Then she asked:
 — May I sell the milk?
 — Yes, you may sell it, it is your milk, — answered the mistress.
 So Dolly put the pail of milk on her head and walked to town.
 She was very happy. She had a lot of plans in her head.
 — I shall sell the milk, and I'll buy some eggs with the money. Then I'll take one of my mistress's hens and put it on the eggs. It will sit on them and I shall soon have a lot of chicks. My chicks will soon be big and fat, and I shall sell them. I'll buy a pritty new dress with the money. I'll buy a nice green dress. I'll be very pretty in my new green dress.
 Dolly was very happy, and she began to run and to jump, and the pail of milk fell to the ground.
 Dolly sat down on the grass and cried. She had no milk, no eggs, no chicks, no money and no pretty new dress.



FREUNDSCHAFTSDIENST (nach B. Brecht)

Zu einem alten Araber kamen drei junge Leute und sagten:
 — Unser Vater ist gestorben. Er hatte siebzehn Kamele. Im Testament schrieb der Vater, dass der Älteste die Hälfte, der zweite Sohn ein Drittel, und der jüngste Sohn ein Neuntel der Kamele bekommen soll. Wie sollen wir die Kamele teilen?
 Der alte Araber sagte:
 — Wie ich es sehe, habt ihr, um gut teilen zu können, ein Kamel zu wenig. Ich habe selbst nur ein einziges Kamel, aber ich gebe es euch. Nehmt das Kamel und teilt. Bringt mir nur das, was übrig bleibt.
 Die drei jungen Leute bedankten sich für diesen Freundschaftsdienst, nahmen das Kamel mit und teilten die achtzehn Kamele so, dass der älteste Sohn die Hälfte, das sind neun, der zweite Sohn ein Drittel, das sind sechs, und der jüngste Sohn ein Neuntel, das sind zwei Kamele, bekam. Zu ihrem Erstaunen blieb ein Kamel übrig. Dieses Kamel brachten sie dem alten Araber zurück.



Great Britain is an island. It lies to the north-west of Europe. The Atlantic Ocean lies to the west of the country. The North Sea lies to the east between Great Britain and Europe.

It is not very hot in Great Britain in summer, and is not very cold in winter.

It often rains in England. Rain falls in summer and rain falls in winter. It falls in spring and it falls in autumn. The weather in autumn and winter is often bad. It is often foggy and cold.

It does not often snow in the South of Great Britain, but in winter there is snow on the hills and mountains in the North and West of the country. In the South it snows only once or twice in winter, and the snow does not lie on the ground for long time.

The winter in all parts of Great Britain is warmer than the winter in L. A., but our winter with its snow and ice is nicer.

London stands on the Thames. The Thames is not very large river. It is not the longest river in England.

In spring and summer English people do not see the sun as often as we see. There are often clouds in the sky, and sometimes there is much rain. So the grass and trees grow very well.

But sometimes there is a hot summer, and people are very glad. They go to the seaside for the holidays. The sea is warm, and people can swim in the water for a long time. People in England talk very much about the weather.

WIENER HOFLICHKEIT

Ich fuhr einmal nach Wien und fragte einen Passanten:
— Können Sie mir sagen, wo hier die Makkaronifabrik ist?
Der Mann dachte nach:
— Makkaronifabrik, Makkaronifabrik. Nein, leider weiss ich nicht.
Ich ging langsam meines Weges weiter. Ich schaute mir die schönen Gebäude der schönen Stadt an. Nach zehn Minuten rief ein Mann zu mir:
— Sie, Sie haben nach der Makkaronifabrik gefragt. Meinem Sie die Nudelmühle? — fragte derselbe Mann. Er war jetzt sehr müde, weil er mir nachhaken musste, um mich darüber zu fragen.
— Ja, natürlich, — antwortete ich erfreut. — Wo ist die Nudelmühle?
— Ja, das weiss ich leider auch nicht, — antwortete der höfliche Wiener.



People who live in Europe always say that the weather in England is bad. They say that there is too much rain or that it is always foggy and cold. But that is not so. Sometimes there are two or three weeks without any rain, and the sun shines all the time.



A POEM

Thirty days has September,
April, June and November;
February has twenty-eight alone;
All the rest have thirty-one,
Excepting leap-year; that's the time,
When February has twenty-nine.

SICHER IST SICHER
(nach J. P. Hebel)

Zwei Wanderer sassen in einem Gasthaus und assen ihr Abendbrot. Es war schon spät, und der Weg bis zum nächsten Städtchen weit. Sie wollten im Gasthaus übernachten. Nach dem Abendbrot führte sie der Gastwirt in ein Zimmer. Im Zimmer standen zwei Betten.
Die Wanderer waren sehr müde und wollten sich schnell ins Bett legen. Sie zogen sich aus. Dann aber steckte einer von den Wanderern seine Füsse in ein Paar Pantoffeln und legte sich ins Bett.
Der andere Wanderer fragte:
— Warum schläfst du in Pantoffeln?
— Ich bin einmal im Traum auf Glasscherben getreten. Das hat mir so sehr weh getan, dass ich nie mehr barfuss schlafen rehe. Sicher ist sicher.



Dalszy ciąg
ze str. 9

brunetem. Nie zauważyłaś mnie. Masz szczęście do chłopaków. Wyglądaliście jak na fotose filmowym. Mówiła z takim ogniem w oczach, że Mariola się wtrąciła: „Podał ci się ten facet?” „Nie powiedziałam tego — Iśka się zarumieniła. — Ale przystojny to on jest”. Chcesz, to cię z nim zapoznam — powiedziała — Przyjdź kiedyś do „Cyganerii”. On tam przesiaduje. „Rany Boga, miałabym za swoje, gdyby mnie tak kto zobaczył...” „Nie umawiasz się jeszcze z nikim?” — zapytała Mariola. Poznałam, że Mariola bawiła się paplaniną Iśki. Traktowała ją jak dziecko. Rzekłyście, jak można było zastawić Iśkę i nas. Absolutnie dziecko. Zieleń. A był czas, że uważałam Iśkę prawie za wór. Była bystra, inteligentna, wesola. Rany! jak ona umiała rozmawiać z chłopakami. No, jasne, że z tymi ze szkoły. Gdyby trafiła na Borutę, ten by ją wyszkolił! „Chodź z nami jeszcze kawalek, Iśka” — powiedziałam. Obejrzała nas uważnie od stóp do głów. „Nie, nie mogę. Karola się niecierpliwi. Pewnie myśli, że poszłam do szkoły”. „No, to wpadnij kiedyś do „Cyganerii”. „Pat” — krzyknęła, posyłając nam rękę całusa. Niech to diabli! Wytrąciła mnie ta Iśka z równowagi. Pewnie, że jej za-

imponowała. Ale też biogowalam, aż się kurzyło. Rany boskie, jak mi kłamstwa łatwo przychodzi. Wcale nie muszę się wysilać. Więc moje marzenie się spełniło. Spotkałam Iśkę. Boże, ależ one będą teraz z Karolą rajcować. Obgadają mnie na wszystkie strony. Suche nitki nie zostawia. Ale też z pewnością się przedstawiłam. Nie ma co! Modelka i do tego pilni uczennica wczorajszego liceum. Dyrzio może być dumny. A geograf, który zawsze obchodził się ze mną jak ze świętym jajkiem, nie omisszka przytoczyć na najbliższej lekcji wychowawczej budującego kazania. Patrzcie, jaka ta Magda dzielna. Boże święty!

„Magda, bierzemy takse!” Mariola skinęła ręką na tak-sówkę. „Na Południową” — wydała zlecenie. „Wiesz, z każdą dniem podziwiam cię coraz więcej. Jak ty to powie-działaś: „Pracuję jako modelka. Aż mnie zatkało”. Mariola wyraźnie mi podchlebiała. Nie miałam wątpliwości, że bierze mnie pod włos. Sprytna sztuka. Rozwaliłam się na siedzeniu i założyłam nogę na nogę. Spoglądałam z uśmiechem na moje kolana. Cholernie mam zgrabne nogi. Mogłam się podobać, byłam młoda i wyglądałam jak uosobienie zdrowia. Ni stąd, ni zowąd naszła mnie fala radości. Po cóż mam się trapić Borutą, czy Krychą. Niech się kochają, jeśli im tak wygodnie. Przypomniały mi się słowa, które powiedziałam Borucie tego dnia, kiedy po raz pierwszy nocowaliśmy u Marioli: „Umre z twoim imieniem na ustach.” Co za lipa! Pan to zna? No to dobrze. Nie trzeba długo mówić.

nowanie paniom!” — rzekł jako pożegnanie z uśmiechem, który mi się wydał dwuznaczny. Jestem pewna, że przejrzał nas na wylot. Nie lubię bezczelnych typów. Spojrzałam na niego tak, jak się spogląda na drzewo czy kamień. Och, proszę pana, ja to potrafię robić. Byłam pewna, że go uraziłam. Mężczyźni nie lubią, jeśli okazuje im się brak zainteresowania. Krycha w takim wypadku z pewnością wruszyłaby ramionami albo powiedziała coś do słuchu, co by tylko faceta rozśmieszyło. Ale ja nie na darmo miałam opinię aktorki.

Wbiegłszy szybko po schodach, Mariola nacisnęła guzik. Rozległ się głos dzwonka, ale nikt nam nie otworzył. Nacisnęła drugi raz i też nic. Zajrzała pod wy-cieraczkę, w schowku koło drzwi i klucza nie znalazła. „Widocznie Tato zapomniął zostawić” — powiedziała.

„Nie, nie zapomniłam” — rozległ się za nami cichy szept. Odwróciłyśmy się jak pociągnięte sznurkiem. W sąsiednich drzwiach ukazała się głowa Szczura. Facet miał głowę owiniętą ręcznikiem i śmierzdziało od niego octem. Przestraszył nas, głupiec. „Czy Tato zostawił klucze u pana?” — zapytała Mariola. „Do usług szanownym paniom” — odparł cichym głosem. Było coś szczególnego w jego oczach, mimo że starał się nadać swojej twarzy zwykły przymiłno-uwo-dzieliński wyraz. „Może panie pozwolą do środeczka” — zaprosił nas uprzejmym gestem. Weszłyśmy do jego mieszkania. O mało nas nie zatkało od tego octu. Szczur się w nim kąpał, czy co? Śmierzdziało jak w trupiarni. Pokój robił dziwne wrażenie. Niby było wszystko w porządku i czysto, a przecież

jakoś nieprzyjemnie. Niektórzy ludzie czynią podobne wrażenie. Żeby nie wiem jak się wyszorowali mydłem i zabrał go pogotowie. Potem przyszła milicja. Tato umarł w szpitalu. Przed śmiercią wezwał rewirowego. Wie pani, Tato przyjaźnił się z rewirowym. Rewirowy przyszedł tutaj, zabrał klucze. Powiedział, żeby pani zgłosiła się do niego.”

A więc Tato nie żyje. Czulałam się okropnie. Ale Mariola jeszcze gorzej. Była blada, żeby miała zaciśnięte, żuchwy jej chodziły. Szczur udawał współczucie. Byłam przekonana, że udaje. Był wstrętny i plugawy z tym ręcznikiem owiniętym na głowie. Do tego wciąż śmierzdział octem. Nie, teraz gdy sobie przypomniałam Tatę i zestawiałam go ze Szczurem, Tato wydał mi się prawie przystojny. Szczur nadskakiwał nam i mówił: „Może herbatki? Może zorganizować jakie śniadanko? Myślę, że panie jeszcze tutaj wpadną? Bardzo będę zadowolony, jeśli panie mnie odwiedzą. Bardzo.” Dawał do zrozumienia, że teraz, kiedy odszedł Tato, chętnie zajmie jego miejsce. „Panie mogą się czuć u mnie jak u Taty. Jestem na usługi pań. Proszę mną rozporządzać. Proszę rozkazywać.” „Ile pan zarabia forsy?” — zapytała ordynarynym głosem Mariola. Szczur rozpromienił się cały. Patrząc na tę szczurzą twarz i okrągłe, wypukłe oczy, z pożądaniem zwrócone na Mariolę, nie mogłam powstrzymać się od grymasu obrzydzenia. „Niech panie sobie wyobrazi — odparł — że jestem sam. Dwóch nas było kawalerów w tym domu. Ja i Tato. Tato odszedł. Pyta pani, ile zarabiam. Sam tego wszystkiego nie przejem.

cy. Wyjrzałem przez okno. Ciężarówka potrąciła kogoś i ten ktoś leżał na ulicy. Zbiegłem na dół. Był to Tato. Zabrało go pogotowie. Potem przyszła milicja. Tato umarł w szpitalu. Przed śmiercią wezwał rewirowego. Wie pani, Tato przyjaźnił się z rewirowym. Rewirowy przyszedł tutaj, zabrał klucze. Powiedział, żeby pani zgłosiła się do niego.”

A więc Tato nie żyje. Czulałam się okropnie. Ale Mariola jeszcze gorzej. Była blada, żeby miała zaciśnięte, żuchwy jej chodziły. Szczur udawał współczucie. Byłam przekonana, że udaje. Był wstrętny i plugawy z tym ręcznikiem owiniętym na głowie. Do tego wciąż śmierzdział octem. Nie, teraz gdy sobie przypomniałam Tatę i zestawiałam go ze Szczurem, Tato wydał mi się prawie przystojny. Szczur nadskakiwał nam i mówił: „Może herbatki? Może zorganizować jakie śniadanko? Myślę, że panie jeszcze tutaj wpadną? Bardzo będę zadowolony, jeśli panie mnie odwiedzą. Bardzo.” Dawał do zrozumienia, że teraz, kiedy odszedł Tato, chętnie zajmie jego miejsce. „Panie mogą się czuć u mnie jak u Taty. Jestem na usługi pań. Proszę mną rozporządzać. Proszę rozkazywać.” „Ile pan zarabia forsy?” — zapytała ordynarynym głosem Mariola. Szczur rozpromienił się cały. Patrząc na tę szczurzą twarz i okrągłe, wypukłe oczy, z pożądaniem zwrócone na Mariolę, nie mogłam powstrzymać się od grymasu obrzydzenia. „Niech panie sobie wyobrazi — odparł — że jestem sam. Dwóch nas było kawalerów w tym domu. Ja i Tato. Tato odszedł. Pyta pani, ile zarabiam. Sam tego wszystkiego nie przejem.

Znalazłoby się to i owo dla drugiej osoby. Nie, kłopotów z forszą nie mam. Ba! Słyszał pan coś podobnego? Nie, bić takiego po pysku? Nie, nie denerwuję się. Niech się pan uspokoi. No dobrze. Więc Szczur próbował nas czarować. Nie mogłam go słuchać, zeszła, po prostu się u niego dusiłam. „Chodź, Mariola, nie mamy co tu robić” — rzekłam. Ale to wystarczyło, żeby obudzić w nim lwa. Chyba ucił Mariolę za rękę. „Proszę jeszcze nie odchodzić. Zaparzę kawę. Mam świeżą” Mariola powiedziała: „Wydź, Magda, zaczekaj na schodach.” Wyszłam i oparłam się o drewnianą poręcz. Stałam może dwie, może trzy minuty. Potem wyszła Mariola. Zakładała rękawiczki. „Wiesz, nie mogłam się powstrzymać. Musiałam mu dać po mordzie. Ale zdaje się, że mu zrobiłam przyjemność. On to lubi. Jeden Tato umarł, możemy mieć drugiego. Chcesz?” „Wy-pchnaj się i na zielono pomaluj. Balona chcesz ze mną zrobić czy jak?”



Gwiazdy piosenki

Od 6 do 8 lipca odbywać się będzie w Sopocie II Międzynarodowy Festiwal Piosenki, w którym weźmie udział 20 piosenkarzy (oczywiście panowie i panie) z 20 krajów, wśród nich wielu laureatów konkursów radiowych i telewizyjnych. Prezentujemy dziś Anne Mascelli (Włochy). Wygrała ona konkurs telewizyjny „Campanile serra”, organizowany przez RAI-Telewizję Włoską. Śpiewa w audycjach radia włoskiego, Teatrze della Pergola we Florencji i kabaretach włoskich. Poniżej jej norweska konkurentka Liv Vilse z Norwegii.



Anne Mascelli (Włochy)



Gustaw Holoubek w „Idach marcowych” interesująco mówi tekst Juliusza Cezara. Mówi — gdyż kostium jest jak najbardziej współczesny

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 19 BM.

17.05 — Program dnia (L. lok.)
17.10 — „Młodzi gospodarze kraju” — telekonkurs (W). 17.50 — PKF (W). 18.05 — „Poletko Pana Polaka” — program z cyklu „O wsi dla wszystkich” (Łódź ogólnopolski). 18.40 — Koncert muzyczny organowej w wykonaniu Jana Jaromira. W programie: 1. J. S. Bach — preludium i fuga a-moll, 2. J. Brahms — preludium choralowe nr 8 z opus 122, 3. F. Mendelssohn — sonata IV (Kraków). 19.15 — „Cmentarz Remu” — film krótkometrażowy prod. pol. (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — TV Magazyn Wojskowy (W). 20.30 — „Milczące ślady” — film fab. prod. pol. dozw. od lat 14. Reżyseria — Zbigniew Kutniński. W rolach głównych: Józef Nowak, Józef Nalberczyk, Witold Skaruch, Włodzisław Skoczylas (W). 21.00 — Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 20 BM.

16.55 — Program dnia i tygodnia (L. lok.). 17.05 — „Dziki ogier” — film z serii „Mó koń” prod. ang. (W). 17.35 — Program tygodnia (W). 17.55 — „Spojrzenia i opinie” (L. lok.). 18.25 — „Śladami Pitagorasa” — teleturniej matematyczny (W). 18.55 — Wszelchnia TV: „W domu słowa” — program z cyklu: „Świat się kurczy” (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 19.55 — Koncert polskiej muzyki kameralnej w wykonaniu zespołu kameralnego Filharmonii Narodowej (W). 20.40 — „Dobrze o tym wiedzied” — II program publicystyczny (W). 21.40 — „Dzień w nob. umrze miasto” — film fab. prod. polskiej dozw. od lat 14. Reżyseria — Jan Rybkowski. W rolach głównych: Beata Tyszkiewicz, Andrzej Łapicki (W). 22.35 — Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 21 BM.

17.10 — Program dnia (L. lok.). 17.15 — Program dla dzieci: „A co dalej?” (W). 17.30 — „Trzech muszkieterów” — film fab. prod. franc. dozw. od lat 10 (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.05 — „Pegaz” — mag. kultur. pod red. Grzegorza Lasoty (W). 20.40 —

PKF (W). 20.50 — Teatr TV: „Krosionka” — komedia Ignacego Krasickiego. Reżyseria — Maryna Brontowska. Scenografia — Maja Berezowska. Wykonawcy: Helena Dąbrowska, Antonina Gordon-Górecka, Ewa Krasnodębska, Katarzyna Laniewska, Janina Traczykówna, Maria Zabczyńska, Tadeusz Bartosik, Mieczysław Gajda, Stanisław Gawlik, Wieńczysław Gliński, Kazimierz Meres, Ludwik Pak (W). 21.55 — „Rosanna z Siedmiu Księżyców” — film fab. prod. angielskiej — dramat obyczajowy dozw. od 16 lat (W). 23.40 — Koniec programu.

AUDYCJE PROGRAMU ŚWIĄTECZNEGO

Oj telewizjo, telewizio! Kiedy musimy numer świąteczny oddać do druku, ty nie masz jeszcze ostatecznie ustalonego programu świątecznego! Ale jesteś uprzejma i podajesz nam (bez żadnych zobowiązań dotrzymania godzin audycji) najciekawsze pozycje programu. A więc:

I DZIEŃ (NIEDZIELA 22)

Godz. 13.00. Poranek muzyczny (piosenki, jazz) z Katowic. 14.00 z Poznania popis wokalisty NR1. 15.50 Teatrzyk dla przedszkolaków „Jedziemy do Azjuszki” — widowisko bałkowe Anny Hodorowskiej. Po teleturnieju — „Parada kłamców” i kolejny filmie z serii Disneyland o godz. 21.05 film amerykański „W rytmie swinga”. I wreszcie spełnienie marzeń wielu widzów — „Podwieczorek przy mikrofonie” znany z radia, na antenie telewizji. Wybór z programów podwieczorkowych reżyseruje Wojciech Solarz.

II DZIEŃ (PONIEDZIAŁEK 23)

Tu już mamy więcej szczegółów. I tak: Godz. 11.20 z Łodzi koncert baletu „Harnama” — ciekawy program, z którym zespół był w Belgii. 12.00 Sprawozdanie z wysiłku kolarskiego o pułchar MON. 14.30 Klub Myskił Miki. 15.10 Widowsko dla dzieci J. Pere i J. Forest „Klasówka z arytmetyki”. 16.00 „Piosenki z festiwalu”. 17.15 Teatr Telewizji „Przerwa obiadowa” Johna Mortimera. 18.00 z Budapesztu transmisja meczu piłkarskiego drużyn (jakie?) Austrii i Węgier. 20.15 „Świąteczne. Te. Echo” w opracowaniu Ireny Dziędzic. 21.00 Film amerykański „Kapitan Blood” z Eroll Flynnem i Olivią de Havilland.



Liv Vilse (Norwegia)

Gdy chcesz mieć przepis...

a piosenkę — tak przynajmniej zwykły swego czasu kwilił przez radio wąty tenorek — to garść promieni słońca węd i gwiazdek z nieba jak najwięcej, i jesz cze weź kwitnący bez.

Następnie trzeba było to wszystko zmieścić w „sercu swym najszerzym” — i czego już autor nie wykladał tak dosłownie — zreżymie ophnać na zawsze chłonnym rynku krajowym.

Tak było z piosenką; zastanawiam się jednak, czy nie dałoby się sporządzić podobnego przepisu na telewizyjne programy publicystyczne, przynajmniej niektóre. Zaczynajmy od tytułu. Powinien być — jak sądzi — tajemniczy i nierozpoznawalny, nieczym sam Zorro o północy — tylko wówczas bowiem zaprawowaj odbiorca włączy o właściwej porze telewizor, popołudniac w międzyczasie hazardowe zakłady z reszła rodziny. Przyjmijmy, że tytuł brzmi „Mejse na ziemi” — ja osobiście obstariałbym przez Juliana Przybosia i jej reperkusje w społeczeństwie; a o to się o kazało, że chodzi o ochronę przyrody i pewne konflikty nieuchronnie wybuchające między „ochroniaczami”, a przedstawicielami współczesnej techniki.

Mając już tytuł, ustalamy jako formę podawczą dyskusję przed kamerą, wybieramy z archiwum kilkadziesiąt metrów potrzebnej na czołówkę taśmy (pluszający strumyk i miasto widziane z lotu ptaka); dopisujemy wstęp, zapraszamy — to bardzo ważne — możliwie interesujących i poważnych dyskutantów, po czym włączamy kamery chowając błyskawicznie głowę w płasek, czy raczej usuwając ją poza widzę.

W precyzyjnym języku dzielnym, opisana powyżej tech-

nika nazywa się po prostu „napuszczaniem”. W ubiegłym tygodniu zostało tak napuszczonych na siebie trzech przedstawicieli świata techniki z prof. Hryniewieckim na czele i trzech — używając żartobliwej terminologii dyskutantów — „ochroniaczy”, z Władysławem Bieniowskim i prof. Michałow- skim, którzy radzi n'radzi (wzruszywszy zapewne ramionami w duchu) poczeli prekomarzać się przed kamerą, co dla mnie osobiście nieublaganie kojarzyło się ze sparringiem gladiatorów.

I tak prof. Michałowski ni- by to zgłaszał preensję pod adresem siedzących na- przeciw przedstawicieli świa- ta techniki na temat zapas- kudzonyj przez nich modrej podkrakowskiej Wisły, ci zaś tłumaczyli mu pracowicie, że do bytowania na nie skażonym łonie natury można by powrócić pod warunkiem wyr- nięcia 90 proc. ludzkości, czego znów — jak się okaza- ło — nie chciał z kolei ani Władysław Bieniowski, ani nikt z oponentów. Owe dys- kusyjne figlki, owo powta- rzanie przez poważnych ludzi doskonale znanych sobie naz- waniem racji, trwało prawie przez cały czas audycji, aż ktoś się zdrażnił i wspomni- ał o ekonomicznej podszewce sporu, po czym wszyscy roz- ziejrzeli się po studio, szuka- jąc ekonomisty na poratowa- nie.

Ala nie było ekonomisty, a miła pani prowadząca całość popatrzyła na zegarek i z po- waga oznajmiła, że już późno i czas kończyć.

Oczywiście kpię, ale rzecz- wista jest kpiny — trudno bowiem spodziewać się rze- czowej dyskusji, gdy temat jest szeroki, podstawowy pro- blem bynajmniej nie sprecy- zowany, a czas ograniczony. Uczestnicy — pozostawieni właściwie sam na sam z naj- ogólniej zarysowanym kon- fliktowym tematem — impro- wizowali na użytek odbior- cy, nie tyle dyskutowali, ile usiłowali w dyskusyjnym try- bie przekazać telewizzom pewne najogólniejsze informa- cje o problemach ochrony przyrody w dobie gwałtowne rozwijającej się techniki. Czynnili heroiczne wysiłki, co przy ich wiedzy i polemicz- nej kulturze uczyniło audy- cję pozornie strawną, ale za to najzupełniej jałową i nie- konkretną.

J. PANASEWICZ

„Idy marcowe”

Interesujące? Tak, zapewne, nawet bardzo interesujące. Choć z drugiej strony nie jestem tak zupełnie pewien, czy na dłuższą metę głośne i uzewnętrzniające wizyjnie poda- wanie wartościowych, bądź przynajmniej artakejnych, tekstów literackich, nie przeje się telewizzowi.

Nie tak dawno oglądaliśmy, na przykład, zgrabne sensacyj- ne opowiadanko „Zawodowa sumiennosc” z Aleksandrem Bardiniem w roli głównej. Maj- sterzylki! Świetne aktorstwo, znakomita robota operatorska i reżyserska. Ala cóż z tego, gdy rzecz była już publikowa- na w „Przekroju” i jako taka znakomicie znana jest narodo- wi. Można patrzeć można po- dziwiać, ale — niestety — na- wet Aleksander Bardini pozos- tając sam na sam ze znanym tekstem, zaczyna po pewnym czasie cośkolwiek nudzić.

Tu podobnie. Jerzy Gruza przyprawił „Idy marcowe” Thorntona Wildera w sposób zaiste smakowity, potrafił zna- leźć wewnątrz rytm tego pot- oku nakładających się na sie- bie i selerajających listów, pa- trałif operować czystym, jasno zarysowanym obrazem, nie po- padł ani w teatralizację, ani w przesadę, starannie dobrał ob- sadę aktorską i bynajmniej się na niej nie zawiodł — nie mniej byłbym w poważnym kłopotie, zapytany, czy wola- łbym zapoznać się tylko z ory- ginałem, czy tylko z telewi- zyjną inscenizacją. Zarzut po- zornie wydaje się naciągany, a jednak jeżeli nawet dość prze- ciętna inscenizacja sztuki tea- tralnej wzbogaca w ostatecz- nym rachunku doznania wy- niesione z lektury, w wypad- ku tak ostatnio modnych w polskiej telewizji adaptacji u- tworów prozatorskich, o owym wzbogaceniu tekstu raczej nie zawsze może być mowa.

Oczywiście — są to zastrze- żenia z zupełnie marginesu, jako że Estrada Literacka już w swoim założeniu ma prozę na mały ekran przesyłać; ale też wyręcza ją w tym dostow- nie kto żyw...

Same zaś „Idy marcowe” — ich część druga, oglądać be- dziemy w najbliższą środę — na pewno są godne polecenia, przede wszystkim chyba ze względu na doprawdy wysoki poziom wykonawczy. Aleksan- dra Śląska, Mariusz Dmochow- ski, Edmund Fetting, nie mó- wiąc już o Gustawie Holoub- ku — znakomitym Juliuszu Cezarze — tworzą postacie godne uwagi i godne zapa- miętania. (cz)

A JEDNAK SIĘ OBRACA!

(ku lepszemu)

Mówmy co chcemy, a jednak się obraca! Obraca się ku lepszemu w telewizji, a do- wód znaleźć najłatwiej przegła- dając chociażby komplety starych czasopism, chociażby to, co się same- mu przed rokiem czy dwoma — z pełnym zresztą w rzeczywistości pokryciem — pracowicie wypisywało.

Przykład drobniejszy: zegar. Na zegarze warszawskiego studia, czy raczej na braku takowego, ostrzy- liśmy sobie pióra jak Polska długa i szeroka. A dzisiaj, cóż? Zegar jest, chodzi, nawet nie bardzo pa- mietamy, ile to było o niego krzy- ku.

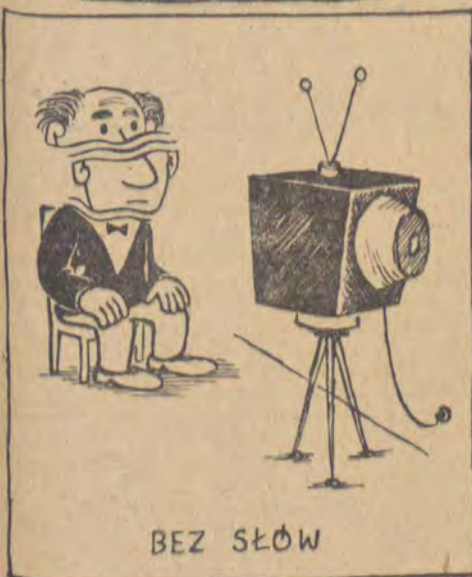
Przykład poważniejszy: filmy. O filmach na małym ekranie można było nieskończenie. Poczynając od repertuaru, co zresztą zawsze bę- dzie tematem aktualnym, istniały przecież i takie sprawy, jak kapital- ny problem filmów czytanych, bądź filmów z napisami, istniała kwestia, dlaczego to Łódź nie stać na włas- nego lektora, toczyła się kampania o krótkie wprowadzenia i tak da- lej, i tak dalej.

Dzisiaj wszystko to należy do za- mierzchłej przeszłości. Ośrodek łódzki — zdaje się m. in. ze wzglę- du na stosunkowo niezły stan łącz- — traktowany jest jako ośrodek towa- rzyszący Warszawie, każdy film jest czytany, niezależnie nawet od na- pisów, a zwłazie wprowadzenia sta- ły się dla nas chlebem powszednim.

Malo: trzeba oddać pełną spraw- dliwosc artystycznemu gustowi TV, która wyswietlając nie tak dawno film „Hiroshima, moja mi- łość”, zrezygnowała z lektora, aby nie rozbić niezwykłego nastroju te- go obrazu — zrozumiała, że głos nakładający się na dramatyczny dialog bohaterów, byłby czymś zu- pełnie nieznośnym. Zresztą telewi- zja nie tylko zrezygnowała z lek- tora — telewizja przekonywająco i zwięzle poinformowała o tym od- biorców, czyniąc rzecz wedle na- szych miar dzisiejszych naturalną i zwykłą, ale która nie przyszłaby nikomu na myśl przed rokiem.

Doprawdy — nie wiecie, co po- siadacie, zani telewizzowie daty najwiecej!

NA EKRANIE KAZIA MOZOLEWSKIEGO



BEZ SŁÓW



CO JEMY

Ponieważ najbliższe dni niechybnie upłyną na jeździe, „Odgłosy Tygodnia” pragną szerzej poinformować a propos. Oczywiście, nie chodzi o to, co jemy w święta, bo każdy odczuje to na własnym żołądku, lecz w ciągu 365 dni.

Z danych, wielce przybliżonych, bo obejmujących artykuły żywnościowe sprzedane tylko przez handel uspołeczniony wynika, że przeciętny statystyczny Łódzianin (znowu przybliżenie, bo na tego statystycznego Łódzianina składają się i oseski) zjadł w ciągu roku 1961: mąki pszennej — 17,1 kg, makaronu — 2,5 kg, pieczywa zwykłego 83,1 kg, dżemów i marmolady — 1,1 kg, cukru 26 kg, jajek 98,7 sztuk, serów 0,6 kg, masła 6 kg, tłuszczów roślinnych 3,1 kg, wieprzowych 3,9 kg, mięsa 22 kg, wędlin 17,2 kg, ryb i przetworów rybnych 3,7 kg, śledzi solonych 2,6 kg, warzyw 89 kg, owoców 22 kg. Powyższe przeciętny statystyczny Łódzianin zapił 3,2 litra spirytusu bądź wódki czystej i 0,4 litra wódki gatunkowej.

W porównaniu z rokiem 1960 statystyczny Łódzianin jadł mniej jajek (106,5 sztuk — 1960), mniej serów (0,8 kg — 1960), więcej tłuszczów roślinnych (2,4 kg — 1960), mniej tłuszczów wieprzowych (5,2 kg — 1960), więcej mięsa (19,2 kg — 1960) i mniej śledzi (3,2 kg — 1960).

Najbardziej niepokoi spadek spożycia serów i jaj, stanowiących wysokokaloryczne, zdrowe i zalecane przez światowych speców od diety, pożywienie. Ow spadek wynika nie z jajo- czy serowstrętu Łódzianin, lecz z niedostatecznej podaży tych artykułów na rynku, niedostateczna podaż zaś z niedorozwoju produkcji.

A zatem zdrowie hodowców kur wypijmy pod świąteczne jajeczko. Wypijmy wódeczkę gatunkową, którą statystyczny Łódzianin pije częściej i w większych ilościach niż dawniej. Wypijmy też za każdym razem, dymkiem z papierosów, których statystyczny Łódzianin (ku zgrozie profesora Venuleta) wypalił w roku 1961 2,110 sztuk czyli o 10 proc. więcej niż w roku 1960.

MENU na FALACH

Przy świątecznie zastawionym stole, w przerwie między kolejnymi daniami, pomysły „o tych, co na morzu”. Ze współczuciem, bowiem menu na falach jest nieco gorsze niż nasze — szczególnie w okresie świątecznej wzmoczonej konsumpcji.

Według opinii „wilka morską”, który wprost z rejsu zawitał do Łodzi, wygląda ono na przeciętnym dziesięciotygodniowym następująco: 7.30 — śniadanie, dwa jajka, zupa mleczna, chleb z masłem, kawa; 11.30 — obiad, zupa, danie mięsne, owoce południowe; 15 — podwieczorek, dżem, herbata, bułka; 17.30 — kolacja, z dwu dań na gorąco, kawa, herbata. Nocna porcja — wyłącznie dla tych, którzy mają wachetę.

Mimo że menu wcale „na oko” nie najgorsze, „na smak” nie najlepsze. Mięso przechowywane tygodniami w chłodni przypomina podobno, autentyczną sieczkę — tkanka plega jak gdyby samostrawieniu. Wiele jednak zależy od kucharza. Najlepszą opinię mają Grecy. Jak uda się „zamustrować” Greka na polski statek, marynarze nie chcą go puścić. Niemniej nawet najlepszy Grek i menu na falach mogą się znużyć po paru miesiącach rejsu. Dlatego w każdym porcie — wbrew powszechnej opinii, najważniejszą sprawą jest: zjeść! Dopiero potem rozrywki, zakupy i wyrazy tęsknoty w listach do rodzinnego domu — szczególnie wzmoczonej w świątecznym okresie.

ODGŁOSY

tygodnia

O CZASIE

Nie chodzi o modną bajeczkę o czasie (— „cza sie napić”), choć i ona byłaby aktualna...

Korzystając z świątecznej wolnej (?) chwili chciałbyśmy zachęcić do rozmyślań o czasie. Tych którzy

- 1 co rano budzą się z lękiem w sercu, że nie zdążą zrobić tego co powinni;
- 2 przez cały dzień pędzą z miejsca na miejsce, z konferencji na zebranie, z pracy do pracy;
- 3 jedzą na stojąco parząc sobie usta rano — kawą, w południe — zupą, wieczorem — herbatą;
- 4 nie byli w kinie od miesięcy, w teatrze — ho, ho!
- 5 mają wszystko na swojej głowie;
- 6 kładą się spać o pierwszej i do drugiej myślą czego nie zrobili;
- 7 najczęściej używają słów „nie mam czasu”.

Według naszych — nie pretendujących do naukowych obliczeń, jest takich osób w Łodzi setki i tysiące. Otóż, proszę państwa, w Polsce od 1919 roku obowiązuje 8-godzinny dzień pracy...

W czasie walk o 8-godzinny dzień pracy w XIX wieku robotnicy pewnego zachodniego kraju (z pośpiechu zapomnieliśmy — jakiego) domagali się 8 godzin na pracę, 8 godzin na zabawę, 8 godzin na sen i 8 szylingów na tydzień.

We współczesnym świecie ściera się dwie tendencje — z jednej strony ograniczenie dnia pracy, z drugiej rozwoju, tzw. prac dodatkowych. To dążenie do podejmowania prac dodatkowych jest charakterystyczne dla naszej epoki, szczególnie dla krajów uprzemysłowionych. W Stanach Zjednoczonych narodziło się nawet określenie dla tego rodzaju pracy: „moore lighting” — praca przy świetle księżycy. Prawda jak romantycznie? Mniej romantycznie wyglądają ci co uprawiają „moore lighting”. Spójrzmy na siebie w lustro... Mizernie, psiakrew.

Motorem, kierującym pracami dodatkowymi i tymi co je biorą, są potrzeby — przeważnie osobiste, zdarcza się że i państwowe. W efekcie „dodatkowość” zaspokaja (jakoś) i jedne i drugie. Powstaje tylko paradoks. Ludzie pracują więcej, żeby lepiej spędzić wolny czas — zarabiają na telewizor, pralkę, wycieczkę, odzienie, jedzenie, picie itp. I dlatego, żeby go lepiej spędzić mają go coraz mniej.

Prace dodatkowe szczególnie modne są wśród pracowników o wyższych kwalifikacjach, którzy — ci najbardziej obciążeni lub... zachlanni, kwalifikują się po dłuższym okresie pracy co najmniej na odczynek sanatoryjny, czasem — wieczny. O czym z okazji świąt przypominamy i do zastanowienia wzywamy wszystkich zainteresowanych.

LENIE

Niniejszym komunikujemy studentom Uniwersytetu Łódzkiego, że rektor prof. dr Szpunar myśli o nich iż są lenie i nieuki.

Mówił o tym w zeszłym tygodniu na zebraniu Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Młodzież akademicka przedkłada podobno pewne rozrywki: jak życie towarzyskie, oglądanie filmów, grę w karty, spacer po Piotrkowskiej i picie wina — ponad picie z kryniczki wiedzy. To odbija się na: przygotowaniach do ćwiczeń i wykładów, wynikach egzaminów i kolokwium i rozwoju intelektualnym poszczególnego osobnika — studenta.

Korzystanie z bibliotek naszych łódzkich studentów w porównaniu z amerykańskimi przedstawia się podobno nieco inaczej. Tak np. w sławnym akademickim ośrodku amerykańskim w Yalle (gdzie prof. Szpunar miał wykłady) biblioteki są otwarte od 9 rano do 24 w nocy i są chętni (wielu) do korzystania z nich w tych porach.

Ilość wysiłku wkładanego w tzw. zdobywanie wiedzy przez studentów amerykańskich, rektor ocenia — wyżej niż wysiłek studentów łódzkich.

W roku ubiegłym przyjęto na wszystkie uczelnie w Polsce około 27,5 tys. studentów (na studia dzienne). Jak stwierdził przy innej okazji prof. dr J. Szczepański, można przewidywać, że około 45 proc. przyjętych nie ukończy I roku. Ta liczba i opinia rektora UL są szokujące. Badania nowo przyjętych studentów Uniwersytetu Łódzkiego i Warszawskiego wykazują, że atrakcyjność studiów dla jednych polega na wywołaniu się z dotychczasowego skrepowania, dla innych na samodzielnym życiu, jeszcze innych — przebywaniu wśród interesujących ludzi. Pewien procent nie widzi w studenckim życiu nic przyjemnego, a zaledwie 9,5 proc. łączy atrakcyjność z możliwością rozwijania zainteresowań intelektualnych i artystycznych.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 34-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 1192 IV. A 4

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Rzepa

TOAST za „OJCÓW” GOŃCA!

Goniec jest niewielki, co około 25 dkg wagi. Lecutki, a jaki wytrzymały... To nie błąd, to istotna przewaga udokumentowana wielotygodniowymi próbami, dokonanymi przez łódzki Instytut Włókiennictwa w trzech fabrykach włókienniczych.

Bo nasz goniec to niewielka, ale podstawowa część krosna, decydująca nie tylko o tym, czy krosno w ogóle będzie działać, ale i jak będzie działać. Czy będzie można na nim utkać wysokogatunkową tkaninę, czy też popstrzoną różnego rodzaju zgrubieniami, zrywami przędzy itp.

Dotychczas gońce robione były ze skóry. Ze skóry bardzo drogiej, importowanej ze strefy dolarowej. Rocznie potrzeba było na produkcję gońców dla naszego przemysłu włókienniczego ponad 600 ton tej skóry, wartości 250 tys. dolarów.

Ladny grosz, nie ma co. Obecnie, dzięki pomysłowości naszych racjonalizatorów, dewizy te pozostaną w kraju lub przeznaczane będą na zakup innych artykułów, być może spożycia codziennego. Zamiast skóry sprowadzać będziemy mogli więcej kaka, cytryn czy innych owoców południowych.

Bo nowe gońce robić będziemy z polietylenu, tworzywa sztucznego. Są one nie tylko lepsze od skórzanych, 10-krotnie bardziej wytrzymałe, ale i przyczyniają się do poprawienia jakości tkanin.

Pierwszą fabryką, która otrzyma nowe gońce z tworzywa sztucznego będzie Łódzka Tkalnica, wyrabiająca delikatne tkaniny, musliny i płótna.

Świąteczny toast za „ojców” polietylenowego gońca!

SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ!

Warszawa ma ich trzy, a czwarty w drodze. Pomieszczone w nowoczesnych, przestronnych lokalach, kolorowo i gustownie wystrojone, dysponujące tzw. zapleczem sklepy pod szyldem „Drewno” ściągają codziennie tłumy warszawiaków. Na ulicach Galczyńskiego, Koszykowej i Stalingradzkiej widok pana lub pani tasczących pod pachą różne listwy, listewki, deski, deseczki, płyty i płytki nierządki jest i charakterystyczny; powiedzieć można: zaczyna należeć do kolorytu lokalnego miasta.

Sezamy dla majsterklepków (nazwa nieprzesadna z uwagi na kolosalny wybór artykułów — od wspomnianych począwszy na wszelkich kolorowych okładzinach skończywszy) naprawdę kształtują tzw. estetykę życia codziennego i domowego. Na miejscu maszyny i fachowcy, którzy za drobną opłatą przytną i przypasują, do tego narodowa smykałka majsterkowania — ot i cała tajemnica piękna wnętrza mieszkalnych naszych warszawskich znajomych.

A u nas w Łodzi zdobycie kawałka twardej płyty pilśniowej to kwestia wielkiego sprytu i szczęścia. Pisaliśmy już o tej sprawie w „Nagrobieku Majsterklepki” (Odgłosy nr 9). Odnosne władze tzn. Wydział Handlu wziął to za zwykły żart, bądź myśli, żeśmy sprawę pod „Nagrobiekiem” pochowali. A my nie. Nie żartujemy. Pytamy, dlaczego Łódź nie może mieć swojego Sezamu z deseczkami i płytkami, dlaczego 700-tysięczne miasto, w którym, jak wiadomo, żyją przeważnie robotnicy lubiący po robocie pomajsterkować, ma być gorsze od stolicy i pielegnować po fajrancie tylko tradycje gołębiarskie? Okazuje się, że od trzech lat odnośna instytucja tzn. Biuro Zbytu Drewna stacza zaciekle boje o jakiś lokal na detaliczną sprzedaż swoich wspaniałości, którymi dysponuje w hurcie. Boje są bezskuteczne, mimo że w szranki stawał nawet Minister Leśnictwa. Opór władz łódzkich jest równie twardy, co nie zrozumiały. Czyżby chodziło o tak zwaną marżę, to znaczy o to, żeby rachityczny MHDowski „Majsterklepka” przy ul. Głównej nie mając czego sprzedawać sprzedawał drożej, w przeciwieństwie do usiłującego wykluczyć się punktu detalicznego „Drewna”, który miałby co sprzedawać i to taniej?

BUBLOTWÓRCZOŚĆ

Eksport-import dwa bratanki. Z tym, że przysłowiowa szklankę zastępuje tu pojęcie zgola innej natury a mianowicie: rozrachunek budżetowy.

Otóż wiemy wszyscy, że aby importować zagranicę towaru musimy w jakiejś takiej proporcji rozwijać i eksport. Idealnym jest pełna równowaga bilansu w handlu zagranicznym. Skoro jednak ideały nie rodzą się na kamieniu, niechże przynajmniej nie będzie rażącej dysproporcji. Takich jak np. w pewnych zakładach produkcji eksportowej w przemyśle bawełnianym. Jak oświadczył dyr. CeTeBe — Kowalewski na ostatnim posiedzeniu Komitetu Branżowego dla spraw eksportu tkanin bawełnianych, w niektórych przedsiębiorstwach tej branży na 100 metrów tkanin produkowanych na eksport tylko 20 metrów można zakwalifikować do wysyłki. Reszta idzie... na skład, do magazynu fabrycznego powiększając i tak nadmierne zapasy spartaczonych i przez to nie sprzedanych za granicę tkanin.

Czy można się więc dziwić, że w tych warunkach wydatki na import surowców włókienniczych przekraczają poważnie kwoty uzyskiwane z tytułu eksportu gotowych już towarów.